№ 19. Warszawa, dnia 7 Maja (25 Kwietnia) 1881 r. Rok I

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres Redakcyi i Administracyi Królewska Nr. 4.**

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



## WYMOWNA PRZESTROGA.

Każdy rok niemal zapisuje w swej kronice wypadki zaciekłych, często nawet krwawych napaści ciemnych chrześcian na żydów. Wypadki te powtarzają się z taką prawidłowością, że dziwić się należy, dla czego ich, na równi z lunacyami i zaćmieniami słońca, nie oznacza zgóry dokładny kalendarz. Podczas zapust lub świąt wielkanocnych można być pewnym, że telegraf przyniesie z Cesarstwa co najmniej wiadomość o połamanych izraelitom żebrach i nabitych guzach. W tym roku na kilka dni już przed rosyjskiemi świętami biegały niepokojące wieści o zamierzonych napadach na żydów; potwierdzenie wszakże tych wieści nie przybyło stąd, skąd były zapowiadane — z zachodu, lecz z południa. Głównem polem rozkiełznanej hulanki dzikich instynktów stał się Elizabetgrad w guberni Chersońskiej. Na ten raz wyznawcy stöckerowskich haseł, których w Rosyi nie brak, skarżyć się chyba nie mogą — z posiewu swego zebrali plon dość obfity. Dnia 27 kwietnia ludność elizabetgradzka, zasilona wkrótce przybyciem chłopów z sąsiednich wiosek, rozpoczęła bójkę z żydami, która rosnąc szybko, zamieniła się na krwawą rozprawę, trwającą przez dni kilka. Zaledwie miejscowe i sprowadzone wojska zdołały uśmierzyć zajadłość tłumu i przerwać jego rabunek. Wypędzeni z miasta chłopi zaczęli rozbijać po wsiach. Spustoszenie w Elizabetgradzie — jak opisuje *Gołos*— straszne. Ulice pokryte pierzem podartej pościeli, jak śniegiem, zawalone odłamami mebli, murów i drzewa. Wiele domów uszkodzonych; z niektórych pozostały tylko ściany i dachy. Sklepy żydowskie, cukiernia, fabryka octu—zburzone. W składach napojów spirytualnych beczki porozbijane, piwnice zalane wódką. Przeszło dwieście osób okaleczonych — jeden żyd zabity.

Są ludzie, są publicyści, którzy w zabiciu tego jednego tylko żyda czerpią pociechę i ludzą siebie lub innych upewnieniem, że niewielki grad padał, skoro jedną zaledwie makówkę strącił. Na nieszczęście, moralną miarą tego faktu nie jest ilość strąconych makówek, ale wielkość gradu. Dla nas liczba ofiar jest rzeczą drugorzędną, główną sama siła wybuchu, nad którą zarówno władze, jak i dzienniki poważnie zastanowić się winny.

Od chwili ostatniego społeczno-politycznego wrzenia w Rosyi słyszymy ciągle nawoływania do cofnięcia się wstecz, tak daleko, że niektórzy lekarze publicystyczni gotowi są furmanić ruchowi w tym kierunku aż po za reformy Piotra W., gotowi stłuc i deską zabić to okienko, które on swemu narodowi otworzył do Europy. Wobec wypadków elizabetgradzkich, wobec wielu podobnych objawów, zapytać wolno, czy reakcya taka jest możliwą? Czy może cofać się społeczeństwo, w którem o zbitą w karczmie szklankę wybucha niszczącym płomieniem walka wyznaniowo-rasowa, dająca się ugasić zaledwie siłą zbrojną? Pojmujemy reakcyę w Niemczech, Anglii, Francyi, w krajach, które szybkim postępem wybiegły daleko naprzód i zmęczone, strwożone lub powstrzymane cofają się wstecz; ale w Rosyi, której niższe klasy zaledwie weszły na drogę cywilizacyi europejskiej, bez chęci opuszczenia tej drogi o reakcyi mówić niepodobna. Bo i jakie opuszczać tu zbyt wysunięte stanowiska? Czy ryzykowne krańce rosyjskich filozofów, ekonomistów i pedagogów; czy odbiegać od swobodnych instytucyj państwowych; czy ograniczać prawa jednostek; czy gasić światła wychowania ludowego — co robić dla cofnięcia się, tam gdzie lud jeszcze jest tak ciemny? Zaiste, jeśli Aksakowy i Katkowy, jeśli ci przywódcy wstecznego ruchu są za swe słowa i czyny odpowiedzialni, lekkomyślnie igrają z reakcyjnem hasłem, którego niedorzeczność i niegodziwość życie natychmiast ilustruje tak jaskrawo. Nawoływać do cofania się aż po za epokę piotrowską w chwili, gdy lud w Elizabetgradzie czci święta rozbijaniem żydów, doprawdy na to potrzeba szalonego obłędu, lubującego się w nieludzkich widziadłach. Rosya nazywa nihilizm rewolucyjny chorobą i pragnie go wszelkimi środkami wyleczyć; zbyt mało ona jednak zwraca uwagi na nihilizm innego rodzaju, na te coraz szerzej i coraz bezczelniej rozpierające się żywioły zagłady pierwiastków innorodnych. Bądź nieświadome popędy w masach ciemnych, bądź świadome zasady w warstwach oświeconych, zadawalniające się gwałtem i zniszczeniem — oto są objawy, których przyczyny państwo usunąć winno, gdziekolwiek je spotka. Przedewszystkiem zaś owe warstwy oświecenisze winny porachować się z własnem sumieniem, czy niższym nie dają gorszącego przykładu do tych samych czynów, których ono tak uroczyście się wypiera? Jeżeli jakaś petersburska gazeta podszczuwa na polaków, dla czegóż ciemny lud elizabetgradzki nie ma uczuć chęci wytępienia żydów? Niech publicystyczni korsarze zastanowią się, na jakich strunach narodu grają, a może w dzikim okrzyku rozpasanego tłumu dosłyszą swą własną nutę.

Sprawa żydowska, która ciągle się zaognia a tak często zakrwawia, ma nadto w Rosyi inne przyczyny nieustannego jątrzenia się, tkwiące w prawach wyjątkowych. Niewątpliwie i tu, jak wszędzie, różnice wyznaniowe i plemienne zaostrzają stosunek obu stron, których nieprzyjaźni nie zażegna żaden morał, najwymowniejsze

kazanie na temat miłości bliźniego. Łagodzić jednak te wrogie usposobienia można i trzeba, a można i trzeba tylko przez usunięcie różnic w warunkach życia odmiennych żywiołów społecznych. Pomijamy kwestyę sprawiedliwości i niesprawiedliwości, zapytamy jedynie: czy prosty chłop rosyjski, nie widząc żydów na stanowiskach przez niego szanowanych a widząc na znienawidzonych, może ich uważać za współobywateli, za istoty obdarzone równą mu racyą bytu? Czy chłop rosyjski może nie rozgrzeszać się w postępowaniu względem żyda, względem tego upośledzonego paryasa, któremu nawet w stolicach przebywać nie wolno? Jakto, elizabetgradczyk będzie sobie robił ceremonie z takim niewiernym, wypędzanym z Petersburga i Moskwy? Bo czyż żyd bywa sędzią, urzędnikiem administracyjnym, czy korzysta z przyznanej innym swobody? Nie, — jest on, jeżeli nie prawnie, to faktycznie z wielu przywilejów wydziedziczony. Lud ciemny, widząc go upośledzonym, naprzód sam go upośledza, a potem — gdy zdarzy się sposobność i ochota — rozbija. Jeżeli już chłopska czupryna walczy z pejsami, nos prosty z garbatym, mowa słowiańska z niemieckim szwargotem, Bóg nowy ze starym, jeżeli tyle różnic naturalnych wytwarza niezgodę, to cóż dopiero mówić, gdy do nich dołączy się różnica praw społecznych! To też kilka batalionów wojska uśmierzy rozbójników, ale nie uśmierzy rozboju, który, przytłumiony w Elizabetgradzie podczas jednych świąt, wybuchnie gdzieindziej podczas drugich. Skutecznie zatamować te wybuchy może przedewszystkiem zupełne i rzeczywiste równouprawnienie żydów, zdejmujące z nich piętno hańby w oczach ludu. Reszty dokona oświata jego, ta oświata, w której spoczywa takie lub inne rozwiązanie zagadki przyszłych losów Rosyi. Do uprawy tego nietkniętego jeszcze pługiem cywilizacyi stepu rzucić się powinni krzykacze, pragnący zwrócić wstecz koła społecznego rydwanu, który ugrząźlszy w bagnie, nie może dźwignąć się naprzód i wyjechać na bezpieczną drogę. Wypadki takie, jak elizabetgradzki, są dla odurzonych własnym kołowrotem derwiszów prasy rosyjskiej wymowną przestrogą, jak zgubnym jest kierunek, w którym ciemną masę za sobą porwać usiłują.

Wypadek ów winien być wskazówką i dla drugiej strony — dla samych żydów. Przekonywa ich bowiem, że dawnego azyatyckiego gruntu pod nogami swymi utrzymać nie zdołają, że warunkiem ich bezpieczeństwa jest wyzwolenie się z odrębności, rozłamanie palestyńskiej obręczy, zamykającej ich życie i przyswojenie sobie typu cywilizacyi nowszej. Daremnie, trzeba umrzeć żydem, chcąc żyć europejczykiem. W przeciwnym razie, można szynkując wódką lub handlując perkalem wypchać sakiewkę, ale nie można być nigdy pewnym, czy jutro wzburzony tłum nie rzuci się wściekle i nie zniszczy owocu długoletnich zabiegów. A tak dobrze stosuje się do Elizabetgradu i Mikołajewa, jak do Kalisza i Raciąża. Dla Cesarstwa w daleko większym stopniu, ale i dla Królestwa także oświata ludu, oświata przymusowa powinna być dziś głównym celem wszystkich usiłowań, głównem źródłem odrodzenia i wzmocnienia. Ostateczne, sumienne i gruntowne załatwienie tej sprawy rozwiąże mnóstwo kwestyj szczegółowych, nad których rostrzygnięciem daremnie dziś się biedzimy.

Smutną jest ciemnota ludu, ale smutniejszem to, że wołanie o światło brzmi dotąd jak głos na puszczy.

## O WYDAWANIU PRZESTĘPCÓW POLITYCZNYCH.

(Instytut prawa międzynarodowego.)

Wiecznie słuszną pozostanie uwaga, że naród wtedy dopiero poznaje swoje organa, gdy one go zabolą. Po wstrząśnieniach socyalistycznych we Francyi, Niemczech, a obecnie Rosyi, rządy, społeczeństwa, dzienniki ze szczególną troskliwością badają cierpiące, zranione miejsca organizmów państwowych. Nad tem wyzwaniem, które socyalizm rzucił Europie, rozmyśla ona bez wytchnienia. W długiej i zapamiętałej walce żywiołów rewolucyjnych z zachowawczymi katastrofa z 13 marca była chwilą największej grozy; nic też dziwnego, że poruszyła ona ze spotęgowaną siłą i na szerokiej przestrzeni powiązane z nią zagadnienia ogólnej natury a przedewszystkiem sprawę bezkarnego chronienia politycznych przestępców w państwach europejskich. Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy*, Rosya wystąpiła z propozycyą ściślejszego określenia i obostrzenia tego przywileju. Zależnie od wewnętrznego ustroju lub zewnętrznych interesów rządy i ludy zapytanych mocarstw odpowiedziały rozmaicie. Największe poparcie okazały Niemcy, których sejm wystąpił nawet do kanclerza z odpowiednim wnioskiem. Zanim myśl rządu rosyjskiego przedystyluje się przez alembiki gabinetów europejskich, opinia publiczna naradza się, rozumuje a wreszcie pyta o zdanie poważnych w tym przedmiocie sądów.

Sądem takim, który już od roku przeszło rozpatruje i rozjaśnia sprawę przytułku *(asylu)* dla przestępców politycznych, jest tak zwany Instytut prawa międzynarodowego (*L'Institut de droit international)* — twór obecnego belgijskiego ministra spraw wewnętrznych, p. Rolin-Jacquemyns, który (w r. 1873) jako adwokat w Genewie i wydawca pisma *Revue de droit international*, pierwszy urzeczywistnił ideę zasłużonego uczonego i obywatela amerykańskiego — prof. Franciszka Liebera w New-Yorku (zm. 1872). W ugruntowaniu tej instytucyi obok niego przyjęli udział: znakomity profesor heidelberski Bluntschli, oraz prezydent międzynarodowego towarzystwa pomocy dla rannych w boju (*Czerwonego Krzyża*) Gustaw Moynier z Genewy. Nadto przy redakcyi statutów współpraco-

---

2)

# STARA POMPADUROWA

przez

**M. E. Sałtykowa (Szczedryna).**

Pompadur przedewszystkiem obdarzył łaską radcę dworu Blamanget'a. Potem, zaczął ustawicznie przechadzać się pod oknami domu, w którym mieszkała Nadzieja Piotrówna i śpiewać: *Jeune fille aux yeux noirs.*

Piosnkę tę nucił już to smutnym falsetem, już naśladując dźwięk trąby; przyczem fałszował nielitościwie. Całe miasto spostrzegło to bezsensowe włóczenie się pompadura i z niespokojnością oczekiwało, czem ono się skończy. Nadzieja Piotrówna także przeczuwała coś, a ujrzawszy z okna zakochanego pompadura, śmiała się tym cichym, szczęśliwym śmiechem, jakim śmieją się małe dzieci, gdy im łagodnie połechtają brzuszek. Nareszcie w sprawie tej przyjęła udział Olga Siemionówa Prochodimcewa...

Prowincya jest dosyć usłużną pod tym względem. Gdy spostrzeże, iż pompadur poluje, to zaraz ze wszystkich stron sypią się nań przeróżne łaskawe zdarzenia: bądź przypadkowe spacery w ogrodzie zamiejskim, bądź przypadkowe spotkanie w domu jakiejkolwiek gościnnej gospodyni, to znowu przypadkowe zejście się za kulisami podczas dobroczynnego widowiska. Słowem, niema takiej żywej istoty, któraby nie przyczyniłaby się jakimkolwiek obrzydłym ruchem do powodzenia tego obrzydłego przedsięwzięcia.

Tak było i tutaj. Pompadur spotykał się z Nadzieją Piotrówną u Prochodimcewej, a spotykał się zawsze wypadkowo. Z początku śpiewał ciągle: *Jeune fille aux yeux noirs*, i wyjaśnił, że muzyka tej śpiewki była najulubieńszym marszem w jego pułku. Czasem wprawdzie dla odmiany, zaczynał przeglądać obrazki, leżące na stole i głupio mruczał do siebie pod nosem:

— Niedostępna!

— O kim pan tam szepczesz? — pytała go Nadzieja Piotrówna.

— Niebianka!

O, gdyby miał ogon, zobaczylaby z pewnością, jak nim kręcił w tej chwili.

Jednakże długo nie ulegała wpływowi jego uprzejmości; od czasu do czasu, zdarzało się nawet, że zanucił:

*Des chevaliers ainsi m' ont exprimé leur flamme...*

A ona mu na to:

*Et moi, j'ai refusé l'offre des chevaliers...*

I spojrzy nań z takim uśmiechem, że nagle, jak oparzony, zmienia melodyą i intonuje:

*T'en souviens-tu?*

— Cóż to pan tak żałobnie? — zapytuje Olga Siemionówna.

— Cóż robić? Ot, Nadziei Piotrównej nie mamy szczęścia się podobać! — odpowiada i tak nadyma usta, że Nadzieja Piotrówna czuje chęć spróbować, jakie by też wydały dźwięk, gdyby je znienacka szturgnąć paluszkiem.

Ale, że nikt nie uniknie własnego losu, i dla nich przeto nastąpiła chwila stanowcza.

Pewnego jesiennego wieczoru, pompadur przyszedł, jak zwykle, do Prochodimcewej i również jak zwykle, zastał tam Nadzieję Piotrównę. Tym razem nerwy jej były jakoś szczególnie wrażliwe.

— *Jeune fille aux yeux noirs! Tu règnes sur mon âme!* — zaśpiewał. Nadzieja Piotrówna wtórowała mu półgłosem:

*Et moi, j'ai refusé...*

— Ach nie! Ach nie! Nie śpiewaj pan tego, nie waż się pan śpiewać! — jakoś nerwowo zawołała Nadzieja Piotrówna, jak gdyby się chciała rozpłakać.

— Pan... ty...

Serca ich zapłonęły.

Wspominała o tem teraz Nadzieja Piotrówna w swej obecnej samotności, wspominała, jak później przyjechała do domu, bez żadnego powodu biegała i kręciła się po pokojach, jak Blamanget czołgał się po

wali: słynny prawnik angielski Westlake, francuski senator Parieu, włoski deputowany i były minister sprawiedliwości Mancini, prof. Holtzendorf i in. Instytut prawa międzynarodowego składa się z 50 członków, rozmaitych narodowości, ludzi wsławionych na polu teoryi i praktyki oraz z *associés*, posiadających głos doradczy. Siedzibą jego jest miejsce zamieszkania głównego, na lat sześć wybieranego sekretarza — jak obecnie Bruksella; organami zaś dwa pisma: *Revue de droit international et legislation comparée* i *Annuaire de l' Institut de droit international* z godłem: *justitia et pace*. Corocznie odbywają się zjazdy; dotąd w Gandawie, Genewie, Haadze, Zurichu, Paryżu, Brukselli, ostatni w Oksfordzie, a następny w Turynie. Żadnego bezpośredniego wpływu Instytut nie wywiera; zadanie jego polega na rozjaśnianiu zasad prawa międzynarodowego i wszczepianiu ich w przekonania społeczeństw.

Zeszłego roku, jak rzekliśmy, odbyło się zgromadzenie członków w Oksfordzie, na którem właśnie rozbierano specyalne referaty prof. uniwersytetu genewskiego Brochera, prof. paryskiego Renaulta i Bluntschlego o wydawaniu przestępców politycznych. Katastrofa 13 marca i wywołane przez nią przypozycye rządu rosyjskiego dały wnioskom tego poważnego ciała, zwłaszcza sformułowanym przez Bluntschlego, szczególne znaczenie. I gdy dziś są one przedmiotem zastanowienia całej niemal prasy europejskiej, uważamy za stosowne poznajomić z nimi również czytelników *Prawdy*.

W istnieniu między państwami układów, zobowiązujących je do wydawania przestępców a wreszcie we wzajemnem pomaganiu sobie państw, niezwiązanych takimi układami, widzi Bluntschli podniesienie ogólnego bezpieczeństwa prawnego i poprawę systematu karnego. Z tej reguły jednak winni być wyłączeni przestępcy polityczni. Racyi tego wyłączenia nie widzi on w przypuszczeniu, że wykroczenia ostatniego rodzaju są lżejsze od innych, lecz wywodzi ją z zasad prawa międzynarodowego. W ściganiu bowiem przestępców politycznych nie istnieje między państwami żadna solidarność. Każde z nich posiada własny ustrój i rząd, musi więc strzedz swojego porządku prawnego i nie potrzebuje zajmować się przestępstwami, obchodzącemi inny rząd i inny ustrój państwowy. Organizacye rozmaitych państw są często bardzo odmiennej natury; tenże sam człowiek, który w jednem jest ścigany jako najniebezpieczniejszy zbrodniarz, w innem uchodziłby za najlojalniejszego obywatela. Żądanie więc wydania takiego człowieka jest nieusprawiedliwionem. Nadto między winnymi często są ludzie nie źli i zepsuci, lecz uczciwi i egzaltowani, niekiedy nawet wzniośli i zacni patryoci. To też państwa nieinteresowane nie chcą w ściganiu winnych pomagać obrażonym, tem bardziej, że rękojmia bezstronności w procesach politycznych jest daleko mniejsza, niż w kryminalnych. Ponieważ zaś państwo udzielające przytułku nie może rozciągnąć kontroli nad prześladującem, woli zatem wogóle odmawiać wydawania przestępców politycznych. Inaczej przecież rzec się ma, gdy niebezpieczeństwo grozi nie porządkowi pewnego państwa, lecz wszystkich cywilizowanych; wtedy muszą one związać się solidarnością i wzajemnością usług. Wtedy jest obowiązkiem prawa międzynarodowego wspólnie dopomagać do pokonania wspólnego niebezpieczeństwa. Pod tę kategoryę pociąga Bluntschli spiski *komunistyczne* i *nihilistyczne*, posiadające charakter międzynarodowy i skierowane przeciwko władzom wszystkich krajów. Chorobę międzynarodową leczyć trzeba środkami międzynarodowymi. Po nici tego rozumowania dochodzi Bluntschli do następujących wniosków:

1) Przestępcy polityczni nie powinni być wydawani.

2) Państwo, od którego zażądano wydania przestępcy, winno zbadać samodzielnie, stosownie do okoliczności, czy czyn, który wywołał to żądanie, posiada charakter polityczny, czy też nie.

Badaniu temu przewodniczyć winny następujące zasady: a) Czyny, posiadające wszystkie oznaki przestępstw zwykłych (morderstwo, podpalenie, kradzież), nie mogą uprawniać wyjątku od reguł wydawania dla tego jedynie, że ich sprawcy chcieli przez nie osiągnąć cele polityczne — i

b) W sądzeniu czynów, spełnionych podczas buntu politycznego, rewolucyi lub wojny domowej, zważać trzeba na to, czy zwyczaj wojenny je uniewinnia, czy też nie.

3) W każdym razie wydanie za przestępstwo, posiadające jednocześnie charakter polityczny i kryminalny, nie powinno nastąpić inaczej, jak pod warunkiem zapewnienia ze strony państwa żądającego, że wydany nie będzie stawiony przed żadnym sądem wyjątkowym.

Oto są główne podstawy, jakie w tej sprawie kładzie najpoważniejsza dziś instancya, rozstrzygająca wątpliwości prawa międzynarodowego. Jak widzimy, nie osłania ona opieką tych, którzy dziś w szeregach przestępców politycznych wysunęli się na plan pierwszy — komunistów i nihilistów. Pozorna wszakże jasność reguł Bluntschlego znika przy zastosowaniu ich do faktów bieżących. Czy on nihilistów rosyjskich zalicza do przestępców międzynarodowych, czy też tylko do winnych w zakresie pewnego państwa? co należy do zwyczajów wojny, a co nie należy? na te i tym podobne pytania nie znajdujemy w jego rozumowaniu dostatecznej odpowiedzi. Zresztą, określenie stosunku jego wniosków do nihilistów rosyjskich miałoby dla nas przeważnie znaczenie teoretyczne; nie ulega bowiem wątpliwości, że na los propozycyi rządu rosyjskiego w praktyce oddziałają bardzo liczne względy i rachuby, które nie będą się wcale liczyły z opinią Instytutu prawa międzynarodowego.

*M. O.*

---

podłodze i całował jej ręce; wspominała... A serce jej napróżno pałało, a po twarzy spływały gorzkie, gorzkie łzy...

— Jaki on jednak był wtedy głupiutki— mówiła: — i jak śmiesznie przewracał oczyma! Jak się starał przypodobać! Jak gdybym ja nie rozumiała, do czego prowadzą te wszystkie manewry!

Od jednego wspomnienia myśl jej pomimowoli przechodziła do innego.

Pewnego razu u Prochodimcewej przedstawiono żywe obrazy. Byli tylko *swoi*. *On* wyobrażał Jakóba, ona — Rachelę. Ona trzymała w ręku pochyloną kadzielnicę; zakładki jej tuniki opuszczone na piersiach jakoś niechcący rozwarły się... *On* wysuwał usta („i jak zabawnie je wysuwał... mój gluptasek!" snuło jej się w myśli).

— Eh, Nadziejo Piotrówno, gdybyśmnie pani tym sposobem nakarmiła! — powiedział jej wtedy rzeczywisty radca stanu Bałbiesow, ale ona udała, że nie słyszy, a nawet się *jemu* nie poskarżyła.

Dlaczego się nie poskarżyła? Oto dlatego, że kiedyś powiedział jej:

— Ty, Nadziuniu, jeżeli będą się ciebie czepiać, powiedz tylko! Ja go zaraz na bryczuszkę — i fiut!...

Ona zaś, nietylko że się nigdy na nikogo nie poskarżyła, ale pragnęła jedynie, aby wszyscy na nią patrzyli i cieszyli się.

Potem, pewnego razu, — było już bardzo, bardzo późno — *on* wpadł w dobry humor i nagle rzekł do niej:

— Nadziuniu! Jakie ty masz jednak ciało, aż się rozpływa!

Potem... Byli, razu pewnego, w komenderówce... *On* — za interesami, ona — wypadkowo...

Marszałek zaprosił ich na obiad... Altanka... Ogród... Słowik śpiewa... W dali przechadza się sekretarz i pali cygaro...

Wszystko to tak się rzucało w oczy, powstawało tak przed nią jak żywe. A co najważniejsze: w miarę tego, jak rozweselała swego przyjaciela, szacunek dla niej wzrastał coraz bardziej. Nikt nawet nie zazdrościł! Wszyscy wiedzieli, że tak jest, że tak być powinno... A teraz? Czemże jest teraz? *Starą* pompadurową!... Czy to jest stanowiskiem? Czy to jest godnością?...

— Ach, gdzież on jest teraz, mój głuptasek!

Nadzieja Piotrówna gryzła się i martwiła. Widziała, że towarzystwo jest dla niej łaskawe po dawnemu, że nawet rewirowi nie stracili wcale dawnej uprzejmości, ale to jej nie cieszyło, a nawet jak gdyby zasmucało. Każde nowe zaprosiny na objad albo wieczór przypominały jej o przeszłości, kiedy wynikały z natury rzeczy, nie zaś z politowania, albo z jakiejś sztucznie wywołanej życzliwości. Prawda, miała przyjaciółkę — Olgę Siemionównę Prochodimcewą...

Z przyjaciółką tą zamykała się sam na sam i wspominała dawne czasy. Dziwiła się sama nawet, jakie niewyczerpane źródło szczegółów otwierało się przed nią zawsze, kiedy poruszyła wspomnienia.

— Ot jaki głupiutki ten pompadurek! Ile nadokazywał! — mówiła do Olgi Siemionówny, i znowu wynajdywała jakiś niedopowiedziany szczegół i komunikowała go przyjaciółce.

Reszty znajomych wyrzekła się prawie, a rzeczywistemu radcy stanu Bałbiesowowi wprost powiedziała, żeby nawet nie myślał, i że chociaż pompadur wyjechał, ona jak dawniej należy do *niego* jedynie, albo raczej do dziękczynnego wspomnienia o *nim*. Rozwścieczyło to Bałbiesowa do takiego stopnia, że nazwał Nadzieję Piotrównę chodzącą „panichidą" (mszą żałobną) po pompadurze; ale i pomimo to jednak nie miał powodzenia.

— Patrz pan, jakie ten pompadur miał szczęście! — mówił on — wszak tyle tylko, zdaje się, miał za sobą, że podobny był do małpy, a jednak takie obudził przywiązanie!

Najwięcej czasu spędzała przed portretem starego pompadura, a ciągle żyła wspomnieniami, tylko wspomnieniami! Zdarzało się czasem, że ludzie, szczególnie oddani, potrafili przedostać się do jej ustronia i namawiali ją do przyjęcia udziału w jakiej rozrywce. Ale ona na wszystkie te perswazye odpowiadała pogardliwym

## LEOPOLITANA.

VI.

Cisza na politycznym widokręgu naszym, w tej chwili rozpostarta, dozwala mi zwrócić uwagę waszą w inną stronę i przystąpić do sprawozdania z umysłowego ruchu w naszej dzielnicy, a mianowicie w tej części naszego kraju, której historyografię raczyliście powierzyć mojej pieczy.

Nie wątpię, że zapowiedź tę przyjmiecie westchnieniem szczerego zadowolenia i otuchy; przekonany bowiem jestem, że step jałowy, po którym was oprowadzam z urzędu, znużyć już musiał oczy wasze i umysły widokiem swej jednostajności i stroskanej martwoty. Niestety! zmiana dekoracyi nie leży w mocy kronikarskiego dromadera, który was na swym grzbiecie obnosi po tych niegościnnych lądach. Ani tutaj oazy, gdzieby na świeżej murawie wypocząć można po znojach podróży, — ani tu palm dziewiczych, któreby cieniem zielonego warkocza osłoniły utrudzone czoło pielgrzyma przed pustynnym skwarem, — ani tu żywej krynicy, skądby spragnione usta mogły zaczerpnąć ochłody! Jak daleko wzrok zasięże, ciągną się piaszczyste wydmy, które wiatr dowolnie z miejsca na miejsce przenosi, coraz to inne kształty nadając ich zasypom. Wgórze, po nad tą piasków powodzią, co wiecznie kipi bezpłodnym jakimś niby ruchem, płoną miedziane niebiosa, obludnie uśmiechnięte i żadną niezaćmione chmurką, a jednak pełne jakiejś upiornej i zdrowemu życiu wstrętnej zawiści. I niema widokrężnie żadnego przedmiotu, gdzieby spocząć mogło znużone oko wędrowca, — chyba że się zatrzyma na owych Sfinksach i Memnonach, których postacie, wynurzając się z piaszczystej topieli, zarysowują na tle jej szarem czarne swoje kontury. Te Sfinksy, te Memnony, to zabytki onych czasów, nim jeszcze klątwa Samumu wyjałowiła te ziemie; to rzecznicy dawnych prądów ducha, kapłani dziś w poniewierkę już popadłego zakonu. Niegdyś, przed wielu wiekami — będzie temu lat może już dwadzieścia! — wrzało bujnem życiem ich kamienne łono, a usta ich wieszcze lały pieśni, zwiastujące przyszłych zórz przedświty. Dziś, czy to zwietrzał bazalt ich piersi? czyli też utraciło to, co nad ich głowami świeci teraz słońce, dawnego czaru potęgę? usta ich zamilkły i pierś ich żadnego nie wydaje dźwięku. Osowiałym wzrokiem patrzą przed siebie smętne, z kamiennem jakiemś przerażeniem spoglądając na niebios obłudę, na wrzekomą martwych piasków ruchliwość, na to, co się w koło nich krząta niby życie, — patrzą, jedynie niewzruszone wpośród tej upiornej zawieruchy, nie rozumiejąc swego otoczenia i same dlań będąc niepojętą zagadką!

Nie przeczę, iż obraz, który tu waszym nakreśliłem oczom, nie jest ani ponętnym, ani też wesołym, — nie myślę jednakże, abyście na widok jego szczególniejszej doznali niespodzianki. Niejednokrotnie przedstawiono wam już te stroskane lądy w mniej może dosadnych barwach, kładąc tu róż, owdzie bielidło, — niejednokrotnie pisano wam o jałowości naszego piśmiennictwa, o zawichrzeniu pojęć, grasującem w dziedzinie naszej politycznej prasy, o skandalicznych rozterkach, waśniących u nas bezustannie ludzi pióra, — wreszcie o drukowstręcie naszego społeczeństwa i o jego zobojętnieniu dla wszelkich objawów na polu umysłowego ruchu. Pisano o tem długo i szeroko — że tu już tylko o znakomitych zresztą *Listach* p. Koźmiana w *Gazecie polskiej* wzmiankę uczynię — przypisując winę tego opłakanego stanu rzeczy bądź to umysłowej gnusności naszego społeczeństwa, bądź to rozkładowej działalności pojedyńczych stronnictw lub osobistości. Były to atoli zdaniem mojem komunały, część tylko prawdy odsłaniające, a niewnikające wcale w właściwą rzeczy istotę, która, jeżeli się nad nią zastanowimy, gdzieindziej leży.

Był czas, a pamiętamy go dobrze jeszcze wszyscy, kiedy w tej, dziś z powodu swej obojętności tak powszechnie okrzyczanej Galicyi życie umysłowe żywszem daleko biło tętnem. *Czas* krakowski, lwowskie *Nowiny*, *Dziennik literacki* i t. d. rozchodziły się po kraju w tysiącach egzemplarzy; — liczne na prowincyi obywatelskie kółka utrzymywały czytelnie, z których wypożyczona książka obiegała dworki szlacheckie po kolei, a zapas rozdzielanym bywał następnie pomiędzy uczestników. Szerokie koła zapoznawały się w ten sposób z nowemi publikacyami, które z gorączkową rozchwytywane niecierpliwością, żywe wszędzie wzbudzały zajęcie. Wobec takich objawów, można uwierzyć, ażeby to samo społeczeństwo, niedawno jeszcze tak gorąco potrzebę umysłowego pokarmu czujące, bez przyczyny w dzisiejszą swą popadło obojętność? — można przypuszczać, aby z takim spazmatycznym wstrętem odwracało się od wszelkich druków, gdyby pomiędzy drukami tymi a jego umysłem nie została zerwaną owa nić sympatyczna, która je niegdyś łączyła? — można zresztą bez wyrządzenia krzywdy zdrowemu rozsądkowi przypisać zwrot ów opłakany zgubnej działalności pewnego stronnictwa, lub też— jak chcą niektórzy, pewnej osobistości, jeżeli się temu stronnictwu lub tej osobistości nie przyznaje zarazem jakiejś nadprzyrodzonej, istotnie demonicznej potęgi? — twierdzenie, którego zdrowy rozsądek wcale nie dopuszcza!

Tak jak dziś rzeczy stoją, obraca się sprawa rozbudzenia umysłowego ruchu u nas w zaklętem kole. Ludzie pióra nie piszą, bo nie znajdują dla swej pracy nakładców; — księgarze nie podejmują się nakładów, bo prace naszych pisarzy nie znajdują nabywców i czytelników; — ogół nie kupuje książek i nie czyta płodów naszych pisarzy, bo nie odczuwa w nich swoich własnych dążeń, swoich duchowych sympatyj i antypatyj. Owóż jeżeli śledzić będziemy początki tego przesilenia, które

---

uśmiechem. Nakoniec, uznano to nawet za niebezpieczne. Spróbowano przywołać na naradę radcę dworu Blamanget i zmuszono go, aby raz jeszcze upadł przed nią na kolana.

— Gołąbko, nie w swojem, ale w imieniu całego społeczeństwa błagał nieszczęsny Blamanget, pełzając po podłodze.

— Oszalałeś!... zapomniałeś zapewne *kto* mnie kochał! — odparła, dumnie wskazując na portret starego pompadura.

A pompadur, jak żywy wyglądał z ramek, i zdawało się, że potakiwał jej postanowieniu.

I oto, pewnego poranku, Nadzieja Piotrówna zaledwie wstała z łóżeczka, spostrzegła, że na ulicy zapanowało niezwykłe zamięszanie. Pomimo całego zajęcia jej myśli przeszłością, serce jej zadrżało pomimowoli i zabiło w piersiach.

— Winszuję ci, duszko! Nowy pompadur przyjechał! — wesoło rzekł wchodzący w tej chwili radca dworu Blamanget.

II.

Tymczasem szacunek dla Nadziei Piotrówny wzrastał z każdą chwilą. Kupcy mówili otwarcie, że „gdyby nie ona, nasza mateczka, to *on*, jak Bóg na niebie, nietylko nas wszystkich, ale nawet prochy nasze rozwiałby w powietrzu!“ Szlachta i urzędnicy wyprowadzali ród jej niemal od księcia Olega w prostej linii. Komisarz tak się przeraził temi pogłoskami, że pomimo, iż swój awans zawdzięczał jedynie Nadziei Piotrówne, uważał za obowiązek zakomunikować je nowemu pompadurowi.

— Powiedz pan babie, niech się poskromi, a jeśli nie, to... fiut! — odparł nowy pompadur i klasnął w palce z dziwną pewnością siebie...

Nowy pompadur był chłopcem młodym i wcale rzutnym. Nie znał ani nauk, ani sztuk, i do takiego stopnia nie szanował tak zwanych ideologów, że nawet z Pawła Koka i innych klasyków przeczytał tylko wyborowe ustępy. Najulubieńszemi wyrażeniami jego były: „fiut!“ i, dokąd Makary cieląt nie pędzał.“

Powróciwszy jednak z objazdu miejscowej inteligencyi, zrozumiał, że pomimo całej rozpaczy, Nadzieja Piotrówna stanowi potęgę swego rodzaju, na którą nie zważać byłoby bardzo nierozsądnie.

— Wierzaj, *mon cher* — wynurzał się przed jednym ze swych bliskich: — ta Blamanget... to swego rodzaju prasa moskiewska! Zarówno usłużna... i zarówno stała! Ale że w każdym razie trzęsie opinią publiczną — to jak dwa razy dwa!

Najbardziej jednak dotknęło go to, że jeszcze nie zdołał nic zbroić, a już napotkał opór.

— Zlitujcie się! Przyjechałem tutaj... i prócz otwartego serca... nic, jak Boga kocham! I cóż... zaraz z samego początku...

Jednakże, powoli, ciekawość odniosła tryumf i gdy pewnego razu komisarz zjawił się rano, jak zwykle, nowy pompadur nie wytrzymał już dłużej.

— A co... ta stara... jaka ona? — zapytał.

— Ptaszek!

— Hm... pan pojmuje... ja... Ale!...

— Tak w istocie.

— Naturalnie!

Komisarzowi oddech w dołku zaparła radość. Był on przedewszystkiem człowiekiem życzliwym i nie mógł nie ubolewać z całego serca na widok jakichkolwiek niesnasek i swarów. Dlatego też, niezwłocznie od pompadura popędził do Nadziei Piotrówny i zastał ją siedzącą w zgnębieniu przed portretem starego pompadura. Przy jej nogach pełzał Blamanget.

— Gdzieżeś teraz, głuptasku! Nadokazywałeś — i wyjechałeś! — mówiła sama do siebie.

Gdy jednak w przedpokoju dał się słyszeć brzęk szpady policyanta, nie mogła nie zadrżeć. Tak drży stary koń bojowy, usłyszawszy sygnał trąbki. Trzeba zresztą dodać, że do Nadziei Piotrówny każdy i o każdym czasie mógł wchodzić bez zapowiadania i żądać wódki oraz zakąski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

wykopało rów ten i przedział pomiędzy społeczeństwem a tymi, co są mózgiem narodu i ewangeliczną rolą tej ziemi, to ujrzymy, że początek jego przypada w równym czasie z pierwszymi zawiązkami naszego z Austryą sojuszu, w którym nam nieubłagana konieczność szukać każe chwilowego punktu oparcia. Pod naciskiem wypadków, w chwili, kiedy przed nami stanęło hamletowskie *to by, or not to by?* przyjęliśmy to wstrętne małżeństwo ze wszystkiemi jego moralnemi frendzlami, wraz z dobrodziejstwem całego odnośnego inwentarza, do którego należą brak idei dziejowej, wieczyste prowizoryum, nieśmiertelne *divide et impera*, zastój, fałsz, moralne i materyalne bankructwo, — słowem wraz z całem tem fatalnem wianem Dejaniry, które właściwą treść i duchową istotę tej historycznej „dziury w moście" stanowi. Było to powtórzenie znanej bajki Perraulta: *la Belle et la Bête*, w której, jak wiadomo, piękna krasawica oddaje rękę swą potworowi, z tą tylko różnicą, że w bajce poświęcenie krasawicy zdejmuje urok, ciążący nad potworem, który się zamienia w pięknego jak słońce królewicza. Tutaj wywołał sodomski związek wręcz przeciwne skutki i ołowianem zaciężył brzemieniem urok nad duchem pięknej krasawicy. Musieliśmy się wyprzeć naszych wstrętów, musieliśmy zerwać z naszemi sympatyami i duchowemi aspiracyami, musieliśmy naginać nasze pojęcia do potwornych istotnie wymogów oczywistości, — musieliśmy myśli nasze i pragnienia dostroić do obcych pragnień i myśli, a tem samem zniżać się do tranzakcyi z własnem sumieniem i do apostazyi własnego ducha.

Dla t. z. praktycznych polityków — a przyznam tu, że dla ludzi tych, którzy z dumą się do tego przyznają cechu, nie szczególne mam nabożeństwo — dla t. z. praktycznych polityków powiadam są powyższe ofiary rzeczą małej tylko wagi wobec chwilowych korzyści, któreśmy z tego sojuszu odnieśli. Dla moralisty zaś i myśliciela, są to jednak niepowetowane straty. Tak bowiem, jak w świecie fizycznym nie ginie żadna siła, tak samo nie ginie w świecie moralnym żaden z naszych czynów, żadne słowo i i żadna myśl nasza. Owszem, każda z nich — dobra czy zła — znajduje zawsze odgłos w nas samych, w społeczeństwie, w którem żyjemy, więcej jeszcze, nawet i w pokoleniach, które po nas przychodzą. Któż więc nam dziś powiedzieć może, jaki jeszcze w przyszłości owoc wydadzą kły kadmejskie, które w umysły naszego społeczeństwa zasiane zostały skutkiem tego dziwolężnego sojuszu? — To też nie zastanawiając się nad tem dłużej, tem bardziej, ile że nas dziś tylko obchodzi wpływ, który austro-polska ślubna intercyza na rozwój naszego umysłowego życia wywarła, zaznaczę tu tylko fakt, że małżeństwo to stworzyło tu dla ducha fałszywe, że tak powiem, położenie, w którem pomimo obszernej zresztą swobody praca umysłowa naszego pokolenia żadną się miarą zdrowo rozwijać nie może. Przyjmując to „rozumowe małżeństwo," popadliśmy w rozterkę sami z sobą, a nieuniknionem następstwem narzuconej nam przez konieczność polityczne tartuferyi jest tartuferya umysłowa i moralna, wogóle ów stan chorobliwy, w którym duchowo żyjemy. I dziwcież się tu, że w tej atmosferze kłamstwa i obłudy żaden się piśmienniczy talent prawidłowo rozwijać nie może, — że owszem te, którym na czole złożyła muza swój pocałunek, nędznie marnieją, — że ludzie pióra, zarzucając sobie wzajemnie fałsz i obłudę, nie mają dla siebie ani życzliwości, ani szacunku, a tylko pogardę, — że wreszcie ogół nasz nie odczuwając w piśmienniczych dzisiejszych płodach ani prawdy, ani „swych uczuć przędzy," ani swych myśli kwiatów, niechętnie oczy od wszelkiego druku odwraca!

(D. n.)

---

# Lord Beaconsfield.

(Beniamin Disraeli.)

## III.

W rok po wydaniu *Coningsby'a* wykończył Disraeli drugą, również niezwykłego znaczenia powieść, stanowiącą dopełnienie poprzedniej. *Coningsby* był wizerunkiem dwu pokoleń; powieść nową nazwał on *Sibyl, czyli dwa narody*.

Któreż to były owe dwa narody? Nie chodziło tu o Anglię, ani o żaden z nią rywalizujący naród w Europie. Autor przedstawia raczej dwie społeczne klasy, na które każdy kraj a więc i Anglia jest podzieloną: bogatych i ubogich. Poraz to pierwszy i jedyny Disraeli wyszukał bohatera do swej powieści po za dziedziną najbogatszych, zgłębiając troskę i poglądy ludu, na chleb pracującego. *W Sibilu* usiłuje zwrócić oczy Anglii na nędzny stan biednych jej współobywateli, aby tem samem wykazać błędy polityczne, z tego stanu wynikające. Dzięki przyjacielowi Disraeli odczytał całą korespondencyę, przeprowadzoną między głównym przywódcą *chartystów* O'Connorem, redaktorem gazety *Northern Star* a przywódcami ruchu i mężami zaufania. Prócz tego zwiedził miejscowości, w których powieść jego się rozgrywa, przyczem miał sposobność bliżej poznać panującą w Anglii nędzę. Opisywał, co widział, bez żadnej przesady, a nawet, jak sam wyznaje, przedstawił rzeczywiste stosunki w łagodniejszem świetle; czuł bowiem, że nie uwierzą mu, gdy nagą rzeczywistość nakreśli w zupełnem jej obnażeniu.

Pod względem politycznym powieść ta posuwa się w tym samym kierunku, lecz z większą jeszcze gwałtownością niż poprzednie. Autor daleko dobitniej odzywa się do obu stronnictw, dowodząc im, że czas ich przeminął i że w gruncie rzeczy żadnej niema między niemi różnicy. *Chartyści* dawno już przestali rozgraniczać dwie partye, które obecnie, jak niegdyś, walczą o zwycięstwo. I mieli słuszność. Gdzież bowiem istnieje zasada, któraby wytykała różnicę między szlachetnym lordem, składającym swój portfel, a przyjmującym go nowym *right honourable gentleman?* W powieści tej, podobnie jak w *Coningsby*, Disraeli z niesłychaną gwałtownością napada na angielski parlamentaryzm, gdzie rząd rekrutuje dla siebie większość śród kilku tuzinów nieznanych głupców, których przychylność pozyskać można obiecanką parowskiego tytułu, barońsłwa lub wreszcie zaprosinami na dworskie bale.

Często autor w powieści tej przepowiada, że toryzm powstanie z grobu, złożony tam od śmierci Bolinbrocka, aby potężnym głosem powiedzieć światu: „że władze jeden mają obowiązek: ugruntować dobrobyt ludu." Niektóre miejsca w tej powieści przypominają Lassalla.

*W Coningsby* autor ilustrował stosunki polityczne, w *Sibilu* społeczne, w trzeciem zaś ogniwie tej trylogii w *Tankredzie czyli nowej wojnie krzyżowej* rozbiera stosunki religijne.

*Tankred* jest bez wątpienia jednem z najoryginalniejszych i najbardziej zajmujących dzieł lorda Beaconsfielda, jest żartobliwie patetyczną i ironicznie mistyczną książką, która pozornie sprawia wrażenie dziwaczne. Nie należy jednak zrażać się tymi pozorami; powieść ta bowiem obejmuje cały zakres poglądów Beaconsfielda. Spotykamy tu zewnętrzną swobodę pańskiego życia, zapełnionego wyłącznie kulinarno-gastronomicznymi żywiołami, dalej najwyższy religijny patos i wielkie polityczne plany autora, które rozwijał począwszy od 1874 r. Jestto książka o dwojakiem obliczu: jedno nacechowane delikatną ironią, drugie zaś prawie naiwnym mistycyzmem. Sięgnąwszy głębiej, wsłuchawszy się w tętno książki, dosłyszymy słowa Beaconsfielda, którémi zwraca się do ortodoksów: „Gdybyście byli konsekwentni i na seryo wierzyli w to, w co niby wierzycie, wówczas postępowalibyście całą masą z takim zapałem, naiwnością, wiarą i szaleństwem, jak mój bohater. Gdybyście byli szczerzy, przyznalibyście, podobnie jak mój bohater, że zawdzięczacie żydom i judaizmowi wszystkie wasze najdroższe klejnoty i winnibyście ich czcić, zamiast lekceważyć i prześladować. Nie jesteście wszelako konsekwentni, ani szczerzy, ani wierzący, wszyscy wy razem i każdy zosobna jest filisterskim racyonalistą, a ponieważ nie chcecie się do tego przyznać, skostujcie nieco z mej książki."

*Tankred* w stosunku do wschodniej polityki lorda Beaconsfielda stanowi jego właściwą pierwocinę i teoretyczne jądro, które zwolna wyłuskiwało się z poetyczno-fantastycznej łupiny, aż wreszcie wypróbowane krytyczną dłonią czasu wyszło na świat po trzydziestu latach jako poważny polityczny program.

Po *Tankredzie* nastąpiła długa, dwudziesto-kilkoletnia przerwa. Jedyną pracę literacką, jaką Disraeli w ciągu tego czasu napisał, była bijografia lorda Jerzego Bentinka. Jeżeli od tej pory mało pisywał, to nie wskutek znużenia lub wyczerpania, ale jedynie z powodu swych zajęć na arenie politycznej. Byłto bowiem przedewszystkiem człowiek czynu, który literackiem piórem w formie poetycznej ilustrował przyszłe swe czyny i zamiary.

Jakkolwiek torysowskie ministeryum upadło 1868 r. wskutek wystąpienia Disraelego przeciw zniesieniu państwowego kościoła w Irlandyi, nie porzucił on jednak zamiarów swej młodości, dotyczących politycznego równouprawnienia katolików.

Chwile względnego wypoczynku poświę-

cił skreśleniu nowej powieści, która pojawiła się 1870 r. p. t. *Lothair*. Utwór ten nosi na sobie wyraźnie cechy dojrzałej starości. Jestto owoc bogatego doświadczenia.

Ostatni utwór Beaconsfielda *Endymion*[1]), żywo zainteresował świat literacki i polityczny. Wogóle nie spodziewano się po nim wielkiego zapału i świeżości uczuć. Wiedziano, że autor jest starcem. Nowa powieść, jako ilustracya angielskiej pogoni za dostojeństwami, jest pracą wierną i zajmującą. Owo zaś polowanie *high-life'u* na godności i miliony, na blaski, znaczenie i bogactwa, z całą gorączkowością i nieumiejętnością panawania nad sobą, przedstawił autor z pełną życiową prawdą. Wszyscy bohaterowie nieznają innego celu nad chęć wywyższenia się. Opisy angielskiego towarzystwa są nadto wierne i zdradzają zdolne pióro. Bulwer, poprzednik Disraelego w tym kierunku, znakomicie odzwierciedlał tak zwany wyższy świat; wszelako Disraeli ani na chwilę nie opuszcza politycznego koła, w którem bohaterowie jego się obracają. *Endymion* jest romansem historycznym; wikłają się w nim stosunki angielskie, począwszy od 1828 r. Miejscami nawet powieść ta zdaje się być kroniką parlamentarnych wypadków.

Disraeli w powieściach swych obrał sobie zupełnie odmienną drogę, zwłaszcza w *Endymionie*. Wprowadza on nas tu niby na bal maskowy wielkiej polityki, z tą wszelako różnicą, że po godzinie północnej bohaterowie jego nie demaskują się. Pod względem zaś przygód spotykamy w powieści tej na przemian prawdę ze zmyśleniem, co dziwne wywołuje sprzeczności wobec faktów, znanych starszym dziennikarzom i politykom. Autor fakta zapisane we wszystkich dziennikach ostatnich dziesięcioleci przybrał fantastycznie, ustawiwszy je w legendowem oświetleniu. Pod względem charakterystyki osób najzręczniej w wykonaniu wyszły postacie podrzędne. Wielkie zaś domy odznaczają się pewnym familijnem podobieństwem — wszystkie one pragną odegrać najpierwsze towarzyskie role i nadawać ton w swych politycznych salonach.

Wogóle nie podobna ostatniej powieści Beaconsfielda postawić na pierwszym planie. Widocznie polityczne jego zdolności większą posiadały trwałość i dzielność od literackich. Z postępem wieku rósł on w znaczenie i wpływy, lecz siły jego pisarskie słabły. Jako polityk, trzymał się raz obranej drogi zarówno w charakterze przywódcy partyi torysów, jako też w roli głównego wodza tak zwanej polityki wschodniej. Pośmiertne wspomnienia tego niepospolitego człowieka pełne są zapału i uwielbień. Wogóle jednak powagę się zaznaczyć, że podobnie jak wszyscy znaczni mężowie stanu, którzy nie zdołali odnowić podstaw państwowego organizmu, Beaconsfield nie zdobył sobie nieśmiertelnej sławy, chociaż należy on bezprzecznie do największych bohaterów *pomocy własnej* i jako taki długo świecić będzie na widnokręgu niezmordowanej ludzkiej pracy i wytrwałości.

*Z.*

[1]) Obok *Tankreda*, tłómaczonego i drukowanego w *Bibliotece Warsz.*, jest to druga powieść Disraelego, przełożona na język polski i wychodząca obecnie w *Nowinach*.

## PO GRUDCE ZIEMI *).

Gdy sądy boże jak wichry powstały,
By kości nasze rozmiatać po świecie,
Sierocy sztandar wielkości i chwały
Bóg oddał w ręce poecie.
Wziął go wieszcz, w blaskach słonecznych [rozwinął,
Jako ofiary i nadziei znamię;
Ściągnął nad ludem potężne swe ramię
I jak wódz — na duchy skinął.
Poczuł się w sobie hufiec rozproszony
Po krwawych, ziemi całej, polach bitwy;
Pieśń się zerwała nad łany Korony,
Nad puszcze sinej w mgłach Litwy.
I w sercach ludu szukając oddźwięku,
Wiązała w klęskach potargane struny,
Nawykłe zdawna do klątwy lub jęku,
Kiedy w nie biły pioruny.
Długo my byli, jak lutnia strzaskana,
Niezdolna wydać nic więcej, prócz zgrzytu,
Na której wichry, od rana do rana,
Targały ciszę błękitu.
Długo my byli, jak trup porzucony,
Co się nocami przebudza cichemi
I idzie — bladym upiorem wskrzeszony,
By ssać krew własnej swej ziemi.
Aż nieśmiertelnem tknięci słowem mistrza,
Hymn my ofiarny podnieśli z mogiły...
Odtąd harmonia wciąż czystsza i czystsza
Wzmaga nam ducha i siły.
Wieszcz wskrzesił serce narodu, mdlejące
W marnych wysiłkach śmiertelnej rozpaczy,
On dla rozbitków, dla nędznych tułaczy
Był — jako ziemia i słońce.
On z pieśni swojej uczynił ognisko
Obozu duchów, przy którem się grzeje
Naród zmartwiały, nim zorza zadnieje,
Bóg wie, daleko — czy blisko.
On z pieśni swojej uczynił nam hasło,
Po którem, bracia, na duchów strażnicy
Poznać się możem, nad ziemią zagasłą
W martwej zwątpienia ciemnicy.
On nam z niej słowa uczynił pacierza,
Hymn narodowy nadziei i wiary,
Puhar krzepiący — i arkę puzymierza,
Co strzeże naszej ofiary.
Jak zawołanie wspólnego nam rodu,
Pieśń jego poszła po całej tej ziemi,
I była chlebem wśród suszy i głodu,
Zdrojami była żywemi.
I budząc sennych z długiego uśpienia,
Jak blask poranny, co bije wskróś powiek,
Dla zbrodni — była okrzykiem sumienia,
Dla słabych — hasłem: „tyś człowiek.“
Drżący ją starzec powtarzał o świcie,
Patrząc w słoneczność wschodzącej jutrzenki,
Dusza młodzieńca swój zapał i życie
Z jednej czerpała piosenki.
Pieśń ta uwiła królewski dyadem,
W którym łez naszych zabłysły kropelki,
Nad czołem dumnem, spokojnem, choć blademi,
Kobiety — obywatelki.
I zarzuciła płaszcz drogi, utkany
Z żywej tajemnych wzruszeń naszych przędzy,
Na ziemię ojców, na krwawe jej rany,
Na nagość i wstyd jej nędzy.
Gdy biła w skrzydła anielskie nad ludem,
Nawet bluźnierca uginał kolana,
A w oku jego wzbierała — jak cudem
Łza wrząca, dawno nieznana.
O bracia moi! ja wam nie uczynię
Krzywdy, wołając o pomnik Adama!
Wiem, że ta ziemia poruszy się sama
I wyda z siebie świątynię.
Wiem, że się zwiną puszcze starej Litwy
Na wieniec godny śpiewaka swojego;
Wiem, że z ich szumem, jak z pieśnią modlitwy
Rzeki do morza pobiegą.
Wiem, że zniesiemy rękami własnemi,
Z nad brzegów Niemna i z równin Korony,
Choćby po grudce ojczystych pól ziemi,
Temu — co czuł za miliony.

*Marya Konopnicka.*

*) Należność za tę pracę (rs. 9 kop. 60) przeznaczyła autorka na pomnik Mickiewicza. Zarówno ten wzgląd, jak i niewątpliwe piękności wiersza skłoniły nas do pomnieszczenia go mimo jego częściowej niezgody z filozoficznem wyznaniem *Prawdy* (*Red.*).

## KORESPONDENCYA PRAWDY.

### Z PETERSBURGA.

*28 kwietnia.*

W pierwszy dzień rosyjskiej Wielkiejnocy miasto przybrało dawno niewidziane jaskrawe barwy narodowe: dzwony świąteczne odzywają się od rana do nocy, na ulicach brzmią słowa „Chrystos woskrese“ i głośne trzykrotne pocałunki w policzki. Ostatni ten zwyczaj znacznie już osłabł, co prawda; spodziewać się więc należy nowego apostoła z Moskwy, albo przynajmniej nowej klątwy na miasto „pozbawione wszelkich tradycyj narodowych.“ Co do tradycyj — trudno jest coś stanowczego orzec; ale co do zwyczajów miejscowych, w ścisłem znaczeniu słowa związanych z pewnym czasem lub miejscem, jakie posiada mniej więcej każde miasto historyczne — to Petersburg rzeczywiście nie ma prawie żadnych. Dla tego też petersburczykom chodzi bardzo o to, aby tak zwana „werba“ to jest drobny handel przedświąteczny rozmaitego rodzaju jajami, moskiewskich lub zagranicznych wymysłów, i drobiazgami tanimi, odbywający się podczas szóstego tygodnia postu pod arkadami „Gostinnawo Dwora“ na Newskim Prospekcie wydawał się jak najświetniej. Chodzą więc nań tłumnie i zawzięcie, naładowują kieszenie niegustownymi i nieużytecznymi drobiazgami, w tem zapewne błogiem przekonaniu, że tworzą pewną tradycyę, owe filary, które posłużą zczasem do oparcia się porządkowi społecznemu. Niedawno jeszcze patryoci miejscowi mieli nawet bardzo przyjemną niespodziankę. Oto, bolejąc ciągle nad tem, że stolica nie ma żadnych zabytków archeologicznych własnych, nagle się dowiedzieli, że przy okopywaniu jednego z placów znaleziono pod ziemią ruiny budowli, murów i t. d. Herculanum i Pompei, prawdziwa Palmira północna! gotowi byli już wołać, gdy po bliższem rozpatrzeniu okazało się, że mury te nie tak zamierzchłych sięgają czasów, gdyż były to więzienia (turmy) z czasów Katarzyny II, świadczące w każdym razie wymownie o przeszłości, jeżeli nie zbyt oddalonej, to przynajmniej jaskrawej.

Świąteczne tłumy napełniają ulice, tak samo jak przed rokiem, przed dwoma, równie obojętne na pozór i spokojne — wpływ to zapewne temperamentu północnego, nie łatwo przepuszczającego na zewnątrz poruszenia wewnętrzne. Rzeczywiście zaś wątpliwości nie ulega, że wypadki ostatnie wywarły głębokie wrażenie na masy; epi-

demia polityczna zaraziła wszystkich; nie mówiąc już o stróżach domowych — ludziach bardzo biegłych w kwestyach polityczno-społecznych—nawet wszelkiego rodzaju gospodynie, zwłaszcza zaś wynajmujące pokoje studentom i uczącym się panienkom, pilnie studyują politykę, zapominając o przygotowaniach przedświątecznych.

Teraz zapewne, prócz spostrzeżeń nad sąsiadami, rozmyślają wielce nad ostatnim faktem wybitniejszym, to jest nad dymisyą prezesa głównego zarządu cenzury p. Abazy, wyprowadzając słuszne wnioski, że zmiana człowieka jest zarazem zmianą kierunku— owego kierunku, kiedy to bracia śpiący, jak ich nazwał kiedyś „Poseł Prawdy,“ cieszyli się i ufali i marzyli o... niebieskich migdałach.

Dziś marzymy wprawdzie i cieszymy się także, ale nie zapuszczając się zbyt wysoko i daleko, marzymy i cieszymy się tylko reformami w ministeryum dóbr państwa oraz dróg i komunikacyi, pozostawiając „sprawy wewnętrzne“ ich właściwemu biegowi. Zresztą dobra państwowe i drogi prowadzące do nich znajdują się przecież też wewnątrz Rosyi, mówiąc zatem o nich, mówimy o sprawach wewnętrznych. A wiele i tu znajdzie się materyału do mówienia o „narodzie!“ Dziś przecież żadne słowo nie deklinuje się nieprzerwaniej, zacieklej i tak rozmaitymi głosy, jak słowo „naród.“ Leci ono z katedr publicznych, stoi w każdym nieledwie wierszu gazety, grzmi w aktach salonowych mówców, zapewne wiedzą też o nim i w salonach urzędowych. A jednak nikt się jeszcze nie opędza odeń, jak od dokuczliwej muchy, może dla tego, że za każdym razem zjawia się przybrana w tak rozmaite barwy, że nikt nie poznaje zawsze tego samego owadu. Rzeczywiście zadziwiająca i niepojęta prawie różnolitość charakterystyk tego narodu, zdań, poglądów i uczuć przepisywanych mu. Możnaby pomyśleć, czytając i słysząc wszystko, co się o nim mówi, że każdy artykuł dziennikarski, każda powieść, każde odezwanie się pojedyncze dotyczy coraz to innej narodowości, wchodzącej w skład mięszaniny etnologicznej państwa rosyjskiego. A jednak wszystkie te charakterystyki i poglądy mają na względzie tylko narodowość rosyjską — wielko-rosyjską jedynie. Włościanin p. Aksakowa, Dostojewskiego — nic nie ma wspólnego prawie z włościaninem *Otieczestwiennych Zapisek*, dziennika przeważnie poświęconego sprawom ludowym i poznawaniu ich. Zresztą formy życia ludu, apoteoza gminy ziemskiej włościańskiej, sądów włościańskich i t. d. pozostają zawsze wprawdzie te same; ale jaka rozmaitość sądów o nich, o ich duchu, o stronie wewnętrznej, — wogóle o świecie wewnętrznym włościanina. Zapewne trudno jest inteligencyi zespolić się do tyla z życiem ludu, aby zrozumieć wszystkie jego tajniki, wytłómaczyć sobie tę dziwną rozmaitość zjawisk, których przyczyny tkwią to w głębi wieków i mają charakter ogólny, to są wynikiem miejscowym czysto i wcale mocże niedawnym. Każdy prawie spostrzegacz zpewnością może widzieć co innego; może poznać inną stronę życia, inną miejscowość — i zapewne zczasem, gdy nastąpi czas syntezy, złoży się z tego pewna całość; po cóż teraz tak się spieszą uogalniać i narzucać wszystkim swój jedynie wyrok? W każdym razie jednak zazdrościć należy Rosyi tego rzeczywiście powszechnego zaiteresowania się ludem — to jest gruntem wszelkiego bytu społecznego. Od niedawnego jednak stosunkowo czasu zaznajamianie się z nim przybrało bardziej realny charakter. Kiedy po wojnie krymskiej przekonano się nareszcie, że państwo powierzchownie silne, skoncentrowane, napozór doprowadzone do swoich ostatecznych logicznych wyników, w gruncie rzeczy było pozbawione niezbędnych warunków równowagi — reakcya przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy stała się powszechną; głęboko została odczutą gwałtowna potrzeba zastosowania nowych form społecznych do zmienionej treści życia, i na pierwszym planie powstała kwestya uwłaszczenia włościan. Posypały się tysiączne projekta, z najodleglejszych zakątków odezwały się głosy, rząd zwrócił się wbrew tradycyom biurokratycznym do niektórych wybitnych członków społeczeństwa, niemających dotąd nic wspólnego z machiną rządową, wyznaczył komisye, zachęcał. Robota zawrzała wszędzie, szlachta uznając w znacznej części swoją rolę za skończoną, starała się zastosować do prądu ogólnego i pomagać do reorganizacyi ogólnej. Literatura, towarzystwa naukowe poważnie się zagłębiły w poznawanie warunków życia ludu i indywidualności włościanina. Kierunek ten w literaturze rozwijał się coraz bardziej w duchu pozytywnym i dziś szczególnie, po przeminięciu kierunku negatywnego, znanego w Rosyi pod nazwą kierunku lat 6-go dziesiątka, ostatecznie prawie wszedł na drogę realną. Podczas panowania negacyi powszechnej, zupełnie naturalnej w ostatnich latach 5-go dziesiątka (zawierającej właściwie okres 1856—70 r.), wytwarzającej dla Rosyi niezmiernie ważną epokę, której rezultaty odczuwamy w dzisiejszej dobie, kwestya ludu, po uskutecznionej zwłaszcza reformie, nie stanowiła jeszcze głównego przedmiotu zajęcia postępowej części społeczeństwa, jak to widzimy dziś; wówczas stała ona w rzędzie innych mniej więcej teoretycznych zagadnień, w rzędzie z nowem objawieniem dla ówczesnego społeczeństwa, materyalizmu, darwinizmu, kooperacyami, spółkami, z tendencyą tworzenia typu nowego człowieka, nowego indywiduum społecznego, nad uformowaniem którego tak usilnie pracował świetny wódz i pełen talentu kierownik epoki — Pisarew. Nowy człowiek, zdaniem jego, miał się wlać w typ „myślącego realisty,“ w którego mocy miała być reorganizacya całego społeczeństwa. Pisarew wierzył, że reorganizacya ta mogła być dziełem osobistości, powinna była iść z góry od inteligentnych jednostek i pochłaniać w sobie coraz to większą część masy ludności rosyjskiej, która sama przez się, zdaniem jego, nie zawierała w sobie żadnych samodzielnych pierwiastków do odrodzenia, i nie mogłaby niczego nauczyć, gdyby się do niej po jakie wskazówki zwrócono.

Inaczej patrzył na warunki odrodzenia drugi wpływowy człowiek tej epoki— Dobrolubow. Wpływ jego za życia był znacznie mniejszy od wpływu Pisarewa, gdyż teorye jego mniej odpowiadały przekonaniom społeczeństwa, wierzącego głęboko w jednostkę, nieznającego jeszcze znaczenia masy narodu. On zaś w niej przedewszystkiem widział źródło odrodzenia i wszelkiego życia, w udziale jej, o ile można wszechstronnym, w rozwoju i ruchu powszechnym. Dzisiejsi zwolennicy ludu (prócz słowianofilów) wstępują w ślady Dobrolubowa i wpływ jego staje się coraz widoczniejszym; młodzi pisarze trzymają się przeważnie jego kierunku i starają się, o ile można, objektywnie i bez uprzedzeń znajomić się z życiem ludu. Niezawsze, co prawda, udaje się pozostać przy zamierzonej granicy; to też często przed niedawnymi czasy wyłoniła się pewna szkoła idealizacyjna, zbliżająca się w swych zachwytach nad ludem do moskiewskich słowianofilów, bijących się w piersi ze skruchą przed tym nowym św. Graal'em XIXgo wieku.

Z licznej plejady powieściopisarzy ludowych wybitne stanowisko w literaturze dzisiejszej zajmują pp. Gleb Uspienskij i Złotowratskij; obrali sobie oni rozmaite strony życia ludowego — pierwszy śledzi głównie za odbiciem się i wpływami długoletniej niewoli, drugi najchętniej daje nam obrazy pewnych idealnych tendencyj ludu, właściwych mu, jak w ogóle każdemu innemu społeczeństwu człowieczemu. Kierunki dwu tych ostatnich „narodolubców“ mają dziś najwięcej zwolenników. Z czasem dzięki usiłowaniom podobnym „naród“ nie będzie wydawał się nam masą nieforemną, taką *tabula rasa*, na której każdy pisze, co mu się wyda stosownem w dawnej chwili.

*R.*

---

## GUSTAW FLAUBERT

w życiu prywatnem [*]).

Gdy człowiek stanie się sławnym, wszystkie dzienniki świata badają, opowiadają i rozbierają sposób jego życia. Zdaje się, że publiczność znajduje szczególną przyjemność w dowiedzeniu się: o której godzinie on jada, jakie ma meble, jakie osobiste upodobania i jakie codzienne przyzwyczajenia. Zresztą, ludzie sławni chętnie zadawalniają tę ciekawość, która powiększa ich chwałę: otwierają na oścież drzwi swego domu reporterom, a tajniki swego serca każdemu.

Gustaw Flaubert, przeciwnie, ukrywał zawsze swe życie ze szczególną wstydliwością; nie pozwolił nawet zrobić swego portretu; a oprócz najbliższych, nikt do niego nie miał przystępu. Jedynie przyjaciołom otwierał swoje „ludzkie serce.“ W tem ludzkiem sercu przez długi czas płynęła miłość dla literatury, miłość tak gwałtowna i obfita, że wszystkie inne uczucia, któremi ludzkość żyje, placze, cieszy się i smuci, stopniowo w niej zatonęły.

„Styl, to człowiek“ — powiedział Buffon. Flaubert był uosobionym stylem do tego stopnia, że forma wyrażenia często decydowałk u niego o formie myśli. Wszystko pochodziło z mózgu; nie kochał on nic, a nawet nie mógł kochać, jeśli czego nie uznawał za godne literatury. Na dnie jego upodobań, namiętności, marzeń, odnajdywałeś zawsze literaturę; o niej tylko myślał, o niej tylko mógł mówić. Ludzie, których spotykał, podobali mu się o tyle tylko, o ile widział w nich osobniki zdatne do odmalowania w powieści.

W jego rozmowach, rozprawach, uniesieniach, gdy z podniesionemi rękami gorąco dowodził, czuć było, że sposób widzenia, czucia, sądzenia, zależy wyłącznie od pewnego artystycznego probierza, do którego wszystkie swe zdania stosował.

„My, literaci — mówił — żyć nie potrzebujemy; tylko dzieła nasze żyją;“ a jako przykład ideału literata przytaczał La Bruyère'a, którego życie i przyzwyczajenia są prawie nieznane. Pragnął on pozostawić swoje dzieła, nie zaś wspomnienia.

Pojęcia jego o stylu odpowiadają pojęciu o pisarzu. Zdaniem jego, osoba piszącego powinna zatrzeć się w oryginalności dzieła, oryginalność zaś dzieła nie powinna wynikać ze szczególności stylu.

Nie pojmował on „stylów“, niby szeregu form, właściwych każdemu pisarzowi, w które można wlewać wszelkiego rodzaju myśli; lecz sądził, że istnieje jeden tylko „styl,“ jedyny sposób wyrażenia danej rzeczy, z właściwą barwą i siłą.

Dla niego formą było dzieło samo. Jak u istot żyjących krew zasila ciało i stanowi o kształtach i formach zewnętrznych, stosownie do rasy i gatunku, tak treść danego dzieła wymaga pewnego wyrażenia, które jest jedynie stosownem, posiada jedyną właściwą miarę, rytm, całą skończoność formy.

Nie przypuszczał, aby forma mogła istnieć bez treści, a treść bez formy.

Styl więc powinien być niejako nieosobisty, wszystkie swe zalety zawdzięczać myśli, potędze wyobrażeń.

[*]) Ze wspomnienia Guy'a de Maupassant.

Najwyższą właśnie cechą jego osobistości była dążność, aby we wszystkich swych myślach, we wszystkich czynach, we wszystkich okolicznościach życia być tylko pisarzem, i niczem więcej jak pisarzem.

Paryscy więc reporterowie mało mieli do zbierania na tem polu, na którem mógł żąć tylko artysta.

Pomimo to, czasami odsłaniał się i człowiek. Szukajmy.

Flaubert nie znosił samotności, gdy nie mógł pracować; ponieważ zaś najmniejszy nawet ruch przeszkadzał mu myśleć o zaczętem dziele, nie przyjmował więc zaprosin, jeśli który z przyjaciół nie przyrzekł mu, że go odprowadzi do domu.

U siebie, w swoim gabinecie, u stołu, a nawet będąc na obiedzie u znajomych, był zawsze artystą i filozofem. Lecz gdy w nocy powracał do domu, często pierwotna jego natura ukazywała się w całej prawdzie.

Pobudzony dobrym obiadem, zadowolony z wieczornego chłodu, w kapeluszu zasuniętym na tył głowy, opierając się na ramieniu towarzysza, wybierając puste ulice, aby uniknąć przechodniów, chętnie opowiadał o sobie, o najtajniejszych wypadkach swego życia i ujawniał skryte strony swej natury. Gdy idąc, zmęczył się, stawał pod jakąkolwiek bramą i opowiadał dawne anegdoty, poruszał wspomnienia.

Donośny głos jego rozlegał się wśród samotności uśpionego Paryża. Często na odgłos jego mowy dwaj policyanci, jak dwa cienie, zbliżali się cichutko i oddalali spokojnie, rzuciwszy okiem na tego olbrzyma w białej kamizelce, krzyczącego głośno i uderzającego laską o kamienie.

Wówczas w tym pisarzu genialnym, w tym autorze wspaniałych romansów odkrywałeś naiwność dziecka, częstokroć nawet zupełną nieznajomość życia. Dar obserwacyi, taki silny i rubaszny w jego dziełach, w praktyce życia codziennego zdawał się być zupełnie stępionym. Uważano go za sceptyka, a on przeciwnie był pełen wiary, rozumie się nie religijnej, lecz wiary w spełnienie wszelkich nadziei, we wszelkie delikatne i silne uczucia.

Bywając często zadraśniętym, co zwykle zdarza się w okrutnej na świecie gonitwie, utworzył sobie w duszy pewien zasób nieustannego smutku; w ciągłej zaś walce niepospolitego rozumu z drażliwą niezmiernie naturą przerzucał się ustawicznie od bezwiednej wesołości do czarnej melancholii.

Gdy pisał do swych przyjaciół, prawie zawsze jakiś frazes malował ten silny ból strasznego rozczarowenia. Zamiast raz na zawsze przyznać obojętnie „wieczną nędzę wszechrzeczy“ i cierpliwie znosić wszystkie nieuniknione klęski, ciągłe smutki, wszystkie okropne fatalności, jakim podlegamy, Flaubert drażnił się niemi codziennie. Piękna jego powieść *L'Education sentimentale*, która jest jakby „protokółem“ nędzy ludzkiej, mieści w sobie głęboką i straszną gorycz.

Lecz nadewszystko w listach jego do kobiet, przyjaciółek lat dziecinnych, odnajdujemy te dźwięki smutne, te bolesne drgania.

Dla kobiet miał on przyjaźń czułą i ojcowską, traktował je po części jak dorosłe dzieci, niezdolne do pojęcia rzeczy wzniosłych, przed któremi jednak można wypowiedzieć wszystkie wewnętrzne dolegliwości, które nas ciągle w życiu spotykają.

Zdala od kobiet, Flaubert sądził je surowo, powtarzając zdanie Proudhona: *la femme est la désolation du Juste;* lecz wobec nich poddawał się ich czarowi, lubił ich delikatność, powab i marzycielstwo. A chociaż gniewała go w nich ciągła myśl o miłości, namiętna jednak atmosfera, która je otacza, opanowywała go pomimowoli.

Oto urywki z listów: znać w nich i tę melancholię i ten rodzaj sentymentalnego rozczulenia, którem przejmowała go przyjaźń kobiety:

„Jak to? więc napisałem do Ciebie biedna, kochana przyjaciółko, list tak *rozdzierający?* Wszak zasługujesz, abym był z tobą szczerym? Oworzyłem ci więc serce moje i powiedziałem to, co mi się zdawało prawdą. Gdybym wiedział, że cię tem zasmucę, byłbym milczał.“

I dalej:

„Powiedziano mi, że jesteś chora, moja biedna przyjaciółko, i że fluksya zeszpeciła ci twarz. Ja jednak jako artysta, nie przypuszczam tego. Twoje ciągłe cierpienia męczą mnie, drażnią, zasmucają. Jestem pewny, że strona moralna ma tu wielki wpływ; jesteś zbyt smutną, zbyt samotną. Nie jesteś dosyć kochaną. Ale na świecie nie ma nic dobrego. Życie jest stanowczo głupim wynalazkiem. Wszyscy znajdujemy się na pustyni, bo jeden drugiego nie rozumie.“

Albo jeszcze:

„Przyjaciel twój, jak zwykle, nie jest wesoły. Dla czego? Wszyscy przyjaciele znikli, ludzie głupi, pięćdziesiątka pa pasem, samotność i trochę zmartwień: oto zapewne powody. Czytam rzeczy ciężkie; przyglądam się jak deszcz pada i prowadzę rozmowę z moim psem; potem nazajutrz toż samo, i następnego dnia znów toż samo.

Skoro pragniesz wiadomości, co się u mnie w domu dzieje, to ci donoszę, że mój bałwan Emil został ojcem — ma syna. Ciekawą była jego radość, gdy mu żona dała ten podarek. Dawniej nie byłbym tego pojął. Dziś co innego. Urodziłem się z masą zalet i wad, których jednak w sobie nie rozwinąłem i żałuję tego.

Jakaś ty szczęśliwa, że jesteś w Rzymie! Co za kraj! prawie zapomniałem go. Ah! gdybym mógł przepędzić tam choć rok, jakby mnie to odświeżyło! Nie zaniedbaj częstych o ile można przechadzek po okolicy Rzymu, docierając aż do Ostyi....

Czy nie czujesz, kobieto rasy łacińskiej, że duchy konsulów radeby cię ucałować, gdy błądzisz wśród tych murów? Poznają one w tobie kobietę ze swej rasy. Urodziłaś się godną nosić suknię patrycyuszki, chodzić boso w sandałach przywiązanych purpurowemi wstążkami a czoło zdobić wszystkimi klejnotami Baktryi....

Kiedyż wracasz? Szukałem tego w Twoim liście, lecz o powrocie nic nie mówisz. Zapewne nastąpi to po Wielkiej Nocy? Jakkolwiek nudzę się bez Ciebie, korzystaj jednak z czasu, i nic nie opuszczaj. Podróż niezupełna pozostawia zawsze żal, jeśli zaś kto ogląda prędko, to źle widzi.

A więc żegnam! bądź zdrowa. Baw się dobrze: otwieraj z całych sił twoje wielkie świeczniki i myśl o twoim starym.

*G. F.*

który cię kocha, *pomimo* literatury.

Nędzni my wyrobnicy! Czemuż odmówione nam jest to, co posiada każdy mieszczanin. On ma serce! A my, gdzie tam, nigdy w życiu! Co do mnie, powtarzam Ci jeszcze raz, że jestem *duszą* niezrozumianą, ostatnim okazem gryzetki, ostatnim żyjącym trubadurem starej rasy! Ale Ty nie chcesz mi wierzyć.“

I wszędzie, w innych listach, znajdujemy zdania w rodzaju następujących:

„Co do mnie, cóż chcesz, abym Ci powiedział moja przyjaciółko? Jestem człowiekiem ery upadku, ani chrześcianinem, ani stoikiem, i bynajmniej niestworzonym do walk życia....

Dla czegóż nie jestem o nic nietroszczącym się, samolubnym, lekkomyślnym! Ciężar życia byłby mi lżejszym.“

A jego „nienawiść do głupoty“ zjawia się w każdym wierszu: przytacza ustępy, które przeczytał, oburza się, gniewa, lub chociaż rzadko, żartuje:

„Grano trzy razy *Damnation de Faust*, które za życia mego przyjaciela Berlioza nie miało żadnego powodzenia, a teraz publiczność, ten wieczny głupiec, który zwie się *światem*, uznaje, woła, krzyczy, że to człowiek genialny. Swoją drogą przy danej sposobności powtórzy się toż samo....“

. . . . . . . . . . . . . .

Jeśli listy Gustawa Flauberta będą kiedykolwiek ogłoszone, znajdą się tam ustępy cudowne. Między innymi, istnieją dwa filozoficzne, pisane do sławnego przyjaciela, p. Taine, które są może utworem najwspanialszym ze wszystkich jego dzieł.

Lecz co najgodniejszem było do zanotowania i zachowania zapomocą jakiego fonografu, który zapewne później wynajdą, — to jego rozmowy tak kunsztowne, w których głęboka znajomość ludzi zlewała się dziwnie z niezrównaną nauką, a szczególna oryginalność myśli wyrażała się w zdaniach poważnych, w poglądach dziwnie pięknych, w gestach, w frazesach wystudyowanych, z których płynęły wywody, obejmujące całe człowieczeństwo.

Gdy spoczywał martwy na łożu śmiertelnem, z oczami zamkniętemi i bezmyślnemi, przypominały się słowa Shopenhauera:

„Człowiek jest medalem, na jednej stronie nosi napis: „mniej niż nic“ a na drugiej: „całość w całości.“ „Ze śmiercią każdego człowieka znika świat, który on nosił w głowie; im rozumniejszą była ta głowa, tem bardziej świat ten jest odrębny, jasny, ważny, obszerny, o tyle też straszniejszem jest to zniknięcie.“

*J. B.*

## WYKŁADY PUBLICZNE

### I.

#### Wojciech Dzieduszycki o Sokratesie i Platonie.

Porzuciwszy wycieczki *à vol d' oiseau* nad całym obszarem dziejów filozofii, p. Dzieduszycki w tym roku zajął się specyalnie wykładem o dwu ojcach idealistycznej filozofii greckiej — Sokratesie i Platonie, którym poświęcił cztery wykłady. Prelegent obrał bardzo ponętną formę luźnej gawędy, w którą potrafił wlać dużo swobody i obrazowości. Uczyniwszy na wstępie akt skruchy za swoje przeszłoroczne grzechy prelekcyjne, p. Dzieduszycki powiedział, że zadaniem jego odczytów jest charakterystyka życia obu filozofów na tle epoki, w której powstali, przedstawienie ich nauki, oraz ocena jej ważności w rozwoju filozofii.

Z tego stanowiska wykłady p. D. pod pierwszym zaraz względem były dalekie od wytkniętego celu, a obraz stosunków, wśród których rozwinął się Sokrates i jego walka z Sofistami, przedstawiony był, jeżeli nie na wskróś fałszywie, to przynajmniej w wysokim stopniu jednostronnie. Autor, porwany gawędziarskim impetem, zacieśnił widownię powstawania greckiej retoryki i dyalektyki do takich rozmiarów, że nie posądzając go bynajmniej o grubą nieznajomość rozwoju cywilizacyi helleńskiej, przypuszczamy raczej sprzeczność pomiędzy zamiarem a wykonaniem.

Skłonność do kaznodziejstwa i rozprawiania, tak właściwa nawet pierwotnym grekom za czasów Homera, spotęgowana w życiu publicznem, w czynnych sporach na arenie politycznej, doskonale tłomaczy to obudzenie się ruchu umysłowego, które w wieku V przed Chrystusem wydało żywsze i różnorodne prądy filozficznego myślenia. Natura umysłu greckiego, jego giętkość, żywość i zamiłowanie do filozofowania sprawiły, że ruch ten umysłowy nie skupiał się, jak dzisiaj, w osobnych instytucyach, w gabinetach uczonych, nie rozchodził się w formie piśmiennej, ale w fali żywego słowa rozlewał się obficie po ulicach i placach publicznych. Bardzo ciekawym byłby chociaż w ogólnych zarysach obraz umysłowego i społecznego ruchu

w Grecyi i żywe przedstawienie nurtujących go prądów; ale prelegent nie podjął wcale tego zadania. Z gawędy jego można-by wnosić, że cały rozwój retoryki i dyalektyki greckiej był przyprawą biesiad ateńskich możnowładców; że sofiści i retorowie byli zgrają głodomorów lub pieczeniarzy, tuczących się przy magnackim stole albo krzewicieli rozpusty, dworujących bogatym młodzikom. Cały sąd p. Dzieduszyckiego o sofistach był przeciwny ostatnim objektywnym badaniom filozoficznym, gdyż prelegent, idąc za utartą rutyną, wyrokuje o nich li tylko z pism najzawziętszego wroga, Platona, nie poddając krytyce opinii, nacechowanych widoczną stronnością i nienawiścią. P. D. nie umiał oddzielić szarlatanów i pajaców, wyprawiających ku uciesze możnych dyalektyczne koziołki, od uczonych, którzy fachowo traktowali nauczanie mądrości, od takich wreszcie mędrców, jak Gorgiasz, Protagoras i wielu innych, którzy stworzyli zastęp dyalektyków, komentujących cały zasób dotychczasowej wiedzy greckiej i zajmujących stanowisko negatywne wobec wszelkiego naukowego dogmatyzmu. Zamiast charakterystyki głębszej i bezstronnej sceptycyzmu Gorgiasza, albo też śmiałych teoryi Protagorasa o względności poznania, prelegent przedstawił jako sztuczne kuglarstwo jego teoryę, oparte na podmiotowem znaczeniu prawdziwości twierdzeń ludzkich. Nie wiemy doprawdy, skąd poczerpnął p. D. opinię o Prodikosie, któremu przypisywał głoszenie zasad przewrotnych, negujących całą moralność, drwiących z poczucia wszelkiego obowiązku w imię cynicznego użycia, skoro wiemy, że mędrzec ten w swym traktacie „Wybór Heraklesa" podniósł bardzo wysoko pojęcia moralności społecznej, przedstawiając zwycięzką walkę młodzieńca między cnotą i rozkoszą, a potem, podobnie jak Sokrates, padł ofiarą oszczerstwa, skazany na karę śmierci. Gdyby Prodikos był tak jak Sokrates męczennikiem misyi napół religijnej, możeby prawomyślna krytyka filozoficzna rzuciła wieniec na jego pamięć; ale on należał do zastępu wolnomyślnych sceptyków, więc nawet po dwudziestu trzech wiekach pamięć jego spotwarza niesłuszna klątwa moralnej przewrotności. Nic dziwnego, że wskutek tak fałszywej charakterystyki Sofistów, walka Sokratesa z nimi przedstawiła się w odczycie błędnie i jednostronnie, jako smaganie kramarzy myślowego przekupstwa i wypędzanie ich z przybytku wiedzy. Prelegent jej charakterystykę wysnuł z kilku anegdot, zapożyczonych u Platona, zamiast sięgnąć głębiej i przedstawić w duchu najnowszych badań znaczenie działalności samorodnego mędrca, jako przedstawiciela reakcyi wobec sceptycyzmu i materyalizmu jego przeciwników; jako reformatora, który opierał się na poglądach religijnych, teologicznych, negując prawie zupełnie potrzebę badań przyrodniczych i nauk ścisłych, których rozwojowi sprzyjała starsza atomistyka grecka. Z tego punktu widzenia Sokrates przedstawia się nam jako jeden z tych reformatorów, którzy wbrew prądom wolnomyślnym stawiają oczyszczone pojęcia teologiczne, krystalizujące się stopniowo w nowe systemata, tworzące nowe skamieniałości dogmatyki lub ideologii i tamujące przez wieki bieg niepodległej wiedzy badawczej. W charakterystyce Sokratesa autor zrazu rzucił także zbyt jaskrawe rysy anegdotyczne, które niekoniecznie godziły się z namaszczeniem apostolskiem, cechującem cały jego działalność. Chociaż Sokrates był przeważnie mówcą ulicznym, ludowym, prelegent przedstawił początek jego filozoficznego zawodu w barwach zbyt komicznych, robiąc go przedewszystkiem bajarzem przy biesiadnym stole. Wbrew opiniom większości nowych krytyków filozoficznych, p. D. dla scharakteryzowania jego działalności opierał się na Platonie, nie zaś na Ksenofoncie, obniżając niezupełnie krytyczne znaczenie pamiętników autora *Cyropedii* do wartości anegdotycznej, zewnętrznej, gdy tymczasem dają one wyraźną charakterystykę jego skierowania etycznego, jego poglądów na sprawę badania zjawisk przyrodniczych, jego zwrotu do poznania wewnętrznej natury człowieka, jego nareszcie praktycznego skierowania etyki, zachwalającej spełnianie obowiązków nakazanych przez prawo i poczucie obywatelskie. Odrzuciwszy świadectwo Ksenofonta, który jednak daje treściwy program całej sokratesowej etyki, prelegent przedstawił nam powiększony obraz Sokratesa, ułożony z dyalogów Platona, który, jak wiadomo, kładł w usta swemu nauczycielowi własne pojęcia i teorye. Tym sposobem pomysły obu myślicieli spłynęły się w jedną chaotyczną całość, w której prawie znikły zarysy odrębności Platona a postać Sokratesa chociaż urosła co do rozmiarów, przedstawiła się jednak bardzo niewyraźnie. A jednak gdyby prelegent chciał być krytyczniejszym, mógłby łatwo oddzielić znaczenie obu mędrców według bardzo wyraźnej wskazówki Arystotelesa, który w *Metafizyce* (ks. XIII rozdz. I.), przyznaje Sokratesowi zasługę stworzenia własnej jemu metody wykładu „drogą naprowadzalną" oraz „określenie znaczeń ogólnych." Biorąc pod uwagę to wyraźne określenie, możeby p. D. nie przypisał Sokratesowi pojęć *o ideach* będących własnością Platona, który posządł znakomicie dalej niż Sokrates, nadając ogółowości znaczenie odrębne, metafizyczne po za szczegółowością i stwarzając całą sferę mityczną nadzmysłowej zmysłowości. Widzimy z tego, że część wykładu p. D. naukowo-krytyczna była najsłabszą i nie odpowiadała bynajmniej ani potrzebom przedmiotu ani wymaganiom, jakie sam sobie postawił. Przyznać jednak należy, że cała charakterystyka filozofii platońskiej, z wyjątkiem drobnych szczegółów i potknięć oratorskiej weny, była najlepszą i prawdziwie cenną częścią wykładu.

Nie wdając się w streszczenie informacyjne tej charakterystyki powiemy tylko, że miała ona dwa ważne przymioty w wykładach filozoficznych, to jest była jasną, przystępną i zajmującą; że pod tym względem prelegent okazał rzadki dar dostrojenia się do potrzeb umysłowych słuchaczy, których umiał najłatwiejszą drogą przeprowadzić przez labirynt teoryj i przysłów ideologicznych, rzucając od czasu do czasu barwne obrazy obyczajowe, z pomiędzy których najpiękniejszym było z Grote'a zaczerpnięte opowiadanie o śmierci Sokretesa, opromienionej wysokim męczeńskim urokiem. W ostatniej lekcyi usłyszeliśmy wykład specyalnie przyznanych Platonowi pomysłów metafizycznych i politycznych, zawartych w jego traktatach: *Fizyce* (?) i *Rzeczypospolitej*, przyczem prelegent trafnie scharakteryzował niepraktyczny, utopijny charakter dążeń społecznych genialnego idealisty.

Poznaliśmy wogóle z wykładów p. D. etyczną podniosłość nauki płotońskiej, szerokość i wspaniałość jego pomysłów, opartych na złudnej, oderwanej od rzeczywistości abstrakcyi. Jakie jednak miał znaczenie Sokrates w stosunku do rozwoju późniejszych szkół filozoficznych greckich, które wywodziły od niego początek; jaką rolę odegrała wogóle ideologia platońska w biegu umysłowości ludzkiej, na czem polegał długowiekowy wpływ jego pomysłów i jakie wywołał skutki — na te pytania prelegent nie dał nam żadnej odpowiedzi, chociaż najwyraźniej taką ocenę działalności obu mędrców w rozwoju myśli ludzkiej położył sobie za zadanie wykładu. Zamiast tego, usłyszeliśmy tylko na zakończenie małą deklamacyjną tyradkę, która była gołosłowną, wątpliwej wartości pochwałą idealizmu i jego wzniosłych dążeń a wyglądała jako *captatio benevolentiae* konserwatywnych słuchaczy, czułych na szumne i patetyczne frazesy. Przyznając informacyjnej części wykładów p. D. prawdziwą użyteczność, podnosząc pomimo błędów wymowy jego talent gawędziarski, żałujemy jednak, że z ust jego publiczność nie dowiedziała się bynajmniej, co najnowsze niepodległe badania mówią o danym przedmiocie. Wielka to zaprawdę szkoda, że nasza publiczna katedra jest łożyskiem, przez który w umysłowość naszą wylewa się zbyt obficie strumień galicyjskiej prawomyślności; potrzeba nam bowiem świeżego prądu wiedzy dzisiejszej, niepodległej, aby odświeżył naszą zaswędzoną atmosferę.

*K.*

## II.

### Odczyty przyrodnicze w Resursie Kupieckiej.

Resursa Kupiecka, a właściwie mówiąc, ci jej członkowie, którzy podjęli wydawnictwo mającego ukazać się w czerwcu na widok publiczny *Rocznika fizyograficznego* urządzili szereg odczytów z rozmaitych działów wiedzy przyrodniczej; więc też w już słyszanych i zapowiedzianych na przyszłość prelekcyach spotykamy podwójne rozdziały z meteorologii (dr. Jędrzejewicz z Płońska), fizyki (p. Dziewulski), geologii (p. Kontkiewicz), zoologii (p. Ślósarski), antropologii (dr. Dudrewicz), botaniki stosowanej (p. Jankowski), geografii matematycznej (p. Kramsztyk Stanisław) i chemii (p. Znatowicz).

Chętny i liczny udział publiczności w słuchaniu tych wykładów dowodzi istotnego zamiłowania wykształconego ogółu do nauk przyrodniczych; stosunkowo zaś późna ich data (bo serya bieżąca jest, o ile nam się zdaje, pierwszą w tym rodzaju) stwierdza tylko ten znany doskonale specyalistom fakt, że urządzenie przyrodniczego odczytu należy do bardzo, jeśli nie trudnych, to kłopotliwych przedsięwzięć. Gdy bowiem odczyt literacki lub historyczny wymaga tylko prelegenta i słuchaczów, to każde wstąpienie na katedrę przyrodnika pociąga za sobą konieczność urządzenia doświadczeń, przedstawienia okazów, o które u nas jest nad wszelki wyraz trudno. Pomimo że Warszawa jest miastem niemałem, nie posiada ona jednak wcale instytutów przyrodniczych, dostępnych dla ogółu; nie posiada zbiorów i przyrządów, któreby prelegentowi mogły służyć przy wykładzie; wynika więc z tego powodu nader trudne położenie, bo prelegent musi z jednej strony stosować się do posiadanych okazów i do nich treść swego przemówienia naginać, z drugiej zaś musi prywatnymi środkami stwarzać to, co gdzieindziej jest własnością bogatego społeczeństwa i starych, zasobnych instytutów. Z tego też względu jeśli pojedyńczy odczyt przyrodniczy jest zdaniem do spełnienia niełatwem, to cały szereg takich lekcyj można nazwać bez przesady wysiłkiem, który pieniężnie nie opłaci się nawet wtedy, gdyby sala była nieustannie przepełniona słuchaczami.

Jeśli pomyślimy i obliczymy, że klisze tych obrazów niknących, które na odczytach widujemy, są umyślnie w tym celu przygotowane; że przygotowanie ich polega na chętnej pomocy p. Karolego, który robi w tym celu na szkle pozytywy; że każdą kliszę musi jeszcze koloryzować ktoś, umiejący nakładać na szkło farby przezroczyste, jeśli dodamy do tego cały szereg drobiazgów i kłopotów, jakie każdy tego rodzaju odczyt pociąga za sobą — wówczas przytoczone powyżej słowa wcale nie wydadzą się nam przesadą.

Seryę tegoroczną rozpoczął dr. Jędrzejewicz wykazaniem znaczenia meteorologii w życiu praktycznem. Żałujemy, że okoliczności nie pozwoliły nam wysłuchać jego lekcyi; sądząc jednak z tego, co o jego przemówieniu głoszą kompetentni, odczyt był i zajmujący i pożyteczny. Tego też mo-

żna się było spodziewać, gdyż znanem jest zamiłowanie dra Jędrzejewicza do nauk przyrodniczych. W ustroniu swem, w Płońsku, założył on obserwatoryum astronomiczne, stacyę meteorologiczną, w której robione są już obserwacye. Ogłoszenie ich nastąpi w I-ym tomie *Rocznika fizyograficznego*.

Drugi wykład miał p. E. Dziewulski o lodzie i lodnikach ze stanowiska fizycznego. Treści jego odczytu powtarzać nie będziemy, nadmieniając tylko, iż widzieliśmy na nim po raz pierwszy piękne i niestare doświadczenie angielskich uczonych nad zmianą punktu topliwości lodu pod wpływem ciśnienia, oraz usłyszeliśmy gruntowną krytykę o lodzie, mającym jakoby 120° ciepła, o czem pisma codzienne w swoim czasie obszerne, lecz często błędne i nie gruntowne podawały wzmianki.

Odczyt p. E. Dziewulskiego był przygotowaniem do trzeciego przemówienia p. St. Kontkiewicza, który dla wygłoszenia swej prelekcyi przybył z Petersburga. Mówił on o epoce lodowców ze stanowiska geologicznego, a wziąwszy za punkt wyjścia w swej lekcyi głazy narzutowe w okolicach Warszawy, przechodził stopniowo coraz dalej, tak, że pod koniec godziny w umysłach słuchaczów utworzył się dokładny i kształtny obraz całej pięknej teoryi epoki lodowców. Wypada tu jeszcze zaznaczyć i za zasługę p. Kontkiewiczowi policzyć to, iż gdzie tylko mógł, tam opierał się na faktach geologicznych, odnoszących się do ziem polskich, i że zarówno w wymowie, jak i w języku jego nie znać było ani śladu wpływu przebywania na obczyźnie.

*B.*

## MALARSTWO I RZEŹBA.

### II.

W przeciwległym rodzaju świetny talent ujawnił także p. Kurzawa w statuetkach rodzajowych z terracotty, przedstawiających w parach tanecznych *Poloneza* i *Mazura*. Para polonezowa to szlachcic wąsal i brzuchacz, kroczący z dziewoją, ale jaką dziewoją! Śliczne to, skromne, anielskie stworzenie z wdziękiem lilii, prostotą i wabnością gołąbki, najcudniejszy kwiat staropolskiej niwy, oddany z całym jego urokiem. Para mazurowa przedstawia jakiegoś Walka, hasającego z Jagną siarczyście a dziarsko. Jest ona może zbyt rubaszną, ale ma niezmiernie dużo ognia i ruchu. Obie te pary, w wysokim stopniu typowe, są nacechowane bardzo wybitną oryginalnością talentu, mają nawet ważne artystyczne znaczenie, gdyż należą do dzieł sztuki wcielających z powodzeniem pierwiastek rasowy i narodowy w dziedzinie rzeźby, która z natury twojej jest bardziej kosmopolityczną.

W ostatnich dniach Salon p. Ungra napełnił się nowościami, które zwiastują działalność obiecujących talentów. Z dawniejszych obrazów zasługuje tam na uwagę szczególniej śliczne pieścidełko Bakałowicza *Poranek muzyczny*, przedstawiające królowę francuzką, jak się zdaje Maryę Leszczyńską, słuchającą śpiewu młodego pazika. Jest to pyszne miniaturowe cacko, wykończone po mistrzowsku z elegancyą i wdziękiem. Najważniejszem jednak zjawiskiem chwili jest duży obraz p. Mroczkowskiego *Kulig*, jeden z tych, co odrazu zyskują sympatyą widza. Przedmiot wprawdzie przypomina owe czasy, gdy „bawiono się na śmierć“ w przededniu skonania Rzeczypospolitej, ale nie będziemy za ten wybór tematu robić wyrzutu artyście, który przedstawił objektywną scenę obyczajową ze strony malowniczej, nie siląc się na fałszywe idelizowanie. Dom szlachcica wre światłem i weselem. Blask setki świateł bije przez szyby, plącząc się z blaskiem księżyca. Przed gankiem rozochocony gospodarz otwiera kordyalnie ramiona na przyjęcie orszaku gości w pstrych kostiumach. Dziedziniec cały kipi ruchem i gwarem. Tu żydzi muzykanci witający gości wesołą fanfarą, tam domownicy ciągną beczkę ze starym węgrzynem, w dali bieleją dachy wsi pokryte śniegiem a na drodze migają jeszcze inne sanki kuligu. Postacie witających pełne werwy i życia, przyjezdne damy i kuligowicze widać zmarzli bo mniej mają energii. Scena prawdziwie godowa i malownicza, figury pana i pani domu są doskonałe, pełne humoru i charakteru. Kompozycya odznacza się bogactwem motywów i wielkim wdziękiem układu! Z pewnych słabszych szczegółów widać, że jest to praca talentu, który się świeżo wyrobił, ale w każdym razie zdobył się na niemałą już oryginalność. Głównym przymiotem obrazu jest wielki wdzięk kolorytu, dobre oddanie tonów księżycowego mroku (chybione tylko trochę w szegółach oddalenia), a nadewszystko, owo niedające się określić oryginalne żywe, ciepłe odczucie przedmiotu, które obrazy p. Mroczkowskiego każe nam zaliczyć do szczęśliwych płodów naszego pędzla.

Nowym zapaśnikiem na polu illustratorskim okazał się p. Motty, którego szesnaście rysunków przedstawia przeważnie ponure fantastyczne sceny legendowe. Widzimy tu tedy szturmowanie duchów do drzwi klasztoru Bożogrobców w Gnieznie, wywoływanie cienia Barbary przez Twardowskiego, łowienie dyabelskiego dziwa w jeziorze krakowskiem za Bolesława Wstydliwego, zjawienie się zmarłego ojca na uczcie hulającego syna, mszę odbywaną przez kościotrupów, rozbójnika Madeja w lesie oraz inne sceny podobnego charakteru. Nie wdajemy się w bliższą ocenę tych rysunków, pomiędzy którymi kilka wybitnieje niepospolitym efektem i oryginalnością. Widać z nich, że autor posiada niezaprzeczoną fantazyę i pomysłowość, że umie każdy przedmiot przedstawić odrębnie, nie powtarzając się w motywach, nie wpadając w przesadną manierę celniejszych nawet illustatorów. Oprócz szczególnych i oryginalnych pomysłów widzimy tu zalety umiejętnego grupowania tłumów, dobrą charakterystykę niektórych figur, a nadewszystko umiejętne wyzyskanie tła architektonicznego i efektów oświetlenia, które udają się p. M. bardzo dobrze. Niedojrzałość talentu okazuje się szczególniej w słabem traktowaniu motywów krajobrazowych a przedewszystkiem w niedostatecznej umiejętności rysunku, którą w wielu figurach, zwłaszcza kobiecych, jest nawet rażącą. To pewna jednak, że autor umie przenosić widza w cudowną dziedzinę czarów i legend, umie wcielać te ułudne sceny w plastykę najbardziej zbliżoną do prawdopodobieństwa, nie grzesząc zawiłą mglistością, właściwą wielu fantastom w sztuce i poezyi, tak że możemy w nim powitać zdolnego bajarza ołówka.

Z pomiędzy portretów wyróżnia się p. Czachórskiego duży wizerunek pani G. w trzech czwartych częściach figury naturalnej wielkości, znajdujący się na wystawie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Układ osoby grzeszy z lewej strony zbyt równoległą linią w stosunku do ramy, co wywołuje pewną sztywność, ale twarz malowana pięknie, pełna wyrazu i podobieństwa, wypukli się na tle bardzo dobrze traktowanem, co łącznie z wytwornem malowaniem kostiumu nadaje tej pracy niemałą wartość.

Pan Wojciech Kossak, którego ładne botaliny obrazki podobały się swą werwą i zgrabnym rysunkiem, spróbował pomyślnie sił w dziedzinie portretowej i dał nam w naturalnej wielkości, w całej prawie figurze, wizerunek doktora Zyblikiewicza, znajdujący się na wystawie p. Krywulta. Twarz obecnego marszałka Galicyi wydobywa się z tła portretu żywo i dobitnie. Jestto typowe mieszczańskie oblicze sangwiniczne, nacechowane inteligentnym sprytem, zapowiadające charakter przebiegły i bystry. Z tej twarzy nacechowanej wielkiem podobieństwem, trochę zabarwionej purpurą, nie odgadujesz szerokiego umysłu, ale czujesz, że ten człowiek bystro patrzy się w życie i jego praktyczne sto sunki. Malowana ona szeroko, odznacza się wcale piękną karnacyą, z wyjątkiem może tylko niedostatecznego zlania białych tonów z pół tonami różowo oliwkowymi. Kostyum i akcesorya malowane śmiało, ale zbyt pobieżnie, zwłaszcza w niższej części figury; całość pełna charakteru zapowiada w p. Wojciechu Kossaku portrecistę lepszego pokroju.

Ciekawą jest także znajdująca się na tejże wystawie druga edycya *Maryny Mniszchówny* p. Wyczałkowskiego, przedstawionej w zmniejszonych trochę zarysach, ale niedorównywającej pod względem siły i charakterystyki dawniejszej, świetnej, pełnej charakteru postaci samozwańczej carowej. Ruch Maryny na tym obrazie lepiej się tłomaczy, tło ma więcej harmonii i nie razi jaskrawizną kontrastu, ale twarz nie ma tej dzielnej charakterystyki, jest trochę mdłą, gdyż artysta widocznie starał się dociągnąć ją do pewnego ogólnego tomu. Podobnie jak w innych ostatnich obrazach p. Wyczałkowskiego, znać tu niekorzystny wpływ zbyt realistycznego pojmowania jedności nastroju (*Stimmung*), co osłabiło energię jego talentu, który się tak świetnie i oryginalnie od razu zapowiedział.

Wcale oryginalnym jest rodzajowy obraz p. Piwnickiego *Bańki mydlane*, przedstawiający chłopca, wydymającego mydlaną bańkę pod nosem mości dobrodzieja, który zdrzemnął się po gawędzie z kieliszkiem. Twarz śpiącego bibosza jest bardzo typową, a całość pomimo pewnych usterek zaleca się bardzo śmiałą i szeroką techniką, wzorowaną widocznie na starej szkole holenderskiej.

Zalety kompozycyi i przyjemnego tonu posiada p. Piwnickiego niewielki obrazek *Jeńcy*, przedstawiający tabor ludzi i bydła gnany przez oddział tatarów. Obraz ten dobrze prezentujący się zdaleka, na bliższą odległość razi malowaniem sztywnem, w którem widać dość pierwotne łamanie się z trudnościami pędzla.

## LIBERUM VETO.

Prąd antirepublikański. — Teatralny Alfons i Don Carlos. — Atak karlistów z *Gazety Warszawskiej*. — Wierność i tęsknota za starym pompadurem. — Walka włonie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci o prawo głosu. — Potrzeba uśmierzenia tej walki nowem towarzystwem. — Ambasador literatury francuskiej w Petersburgu. — Warunki konwencyi. — Ilustracye Andriollego do *Pana Tadeusza*. — Smutek i radość.

Podczas ubiegłego tygodnia prąd antirepublikański objawił się w naszej opinii publicznej tak wyraźnie, że każdemu chyba dał odczuć korzyść posiadania godności „naszego znanego“ zapewniającej mu miejsce w komitecie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci lub praw do tronu w teatrach warszawskich. Na tym ostatnim zasiadł, jak wiadomo, Alfons, który musi prowadzić nieprzerwaną wojnę z ukrytymi w górach pracy naszej stronnikami Don Carlosa. Otóż jenerał karlistów, dowodzący pułkiem *Gazety Warszawskiej*, zaopatrzywszy się w nową broń, uderzył znowu na zajętą przez przeciwnika fortecę. Podobno był to napad w skutkach dość niewinny, nie poszczerbił murów, nie zabił nikogo, tylko kilku ludzi zranił. Zamiast jednak rozbierać taktyczną i strategiczną stronę tej bi-

twy, wolę podziwiać ślepe, niewyczerpane przywiązanie owego karlisty do zdetronizowanego pana. Zaiste, rzadka to już dziś wierność nawet w rycerzach lepszej sprawy! Nowy władca teatrów warszawskich dał im konstytucyę, powołał do udziału w prawodawstwie przedstawicieli różnych stanów, uwzględnia *vocem populi*, podczas gdy jego poprzednik krzyczał, świszcząc szpicrutą koło uszu obecnych członków Izby Wyższej, *l'état c'est moi* — a jednakże ma dziś „partyę," ma agitatorów, ma fanatycznych przyjaciół, którzy daliby się za niego porąbać i na rachunek tej gotowości odbierają ciągle guzy. Sam marszałek teatralnych karlistów przypomina mi bohaterkę drukującej się obecnie w odcinku *Prawdy* powiastki: jak Nadzieja Piotrówna, siedzi on ciągle zalzawiony przed portretem starego pompadura i wzdycha, odpierając nowe zaloty słowami: wszystko, co moje, do niego należy — tylko do niego... Nie zrywajmy tego mocno zaciśniętego węzła miłości, przynajmniej dopóki nowa dyrekcya nie zburzy dowodami tej kupy piasku, którym jej — jak dowodzi *Kuryer Codzienny* — oczy zasypują.

Może jeszcze większą uciechę sprawia nam anti-republikański duch, jaki z kolumn tejże *Gazety Warszawskiej* powiał przeciwko stronnikom powszechnego głosowania w rodzącem się Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Obradujący nad niem mężowie zaufania publicznego (przeważnie bezdzietni) rozłamali się na dwa stronnictwa, z których jedno żąda prawa rozstrzygania o losach tej przyszłej instytucyi dla wszystkich jej członków, drugie — tylko dla członków komitetu. Jedni powiadają; każdy pan za swoje trzy ruble składki a czasem może lepiej się znać na rzeczy, niż radca komitetowy; drudzy zaś: radcowie są od tego, żeby radzili. Nie wyrokując w tym sporze, zauważę tylko, że on jest, co się zowie, naszym. Grupka ludzi łączy się dla utworzenia towarzystwa opieki nad dziećmi. Przypuścićby można, że skoro ich spoiła wspólna myśl, posiadają oni zapewnie tyle wspólnego, że drobne różnice zdań wyrównają na obradach i nie przeniosą kłótni na arenę dzienników. Byłoby to naturalnem wszędzie; ale u nas...— u nas — jak powiada z dumą wspominany Zaleski — inaczej, inaczej... U nas założyciele muszą się naprzód powodzić w pismach za czuby, zanim przystąpią do urzeczywistnienia projektu, pod którego kamień węgielny trzeba podłożyć dynamit niezgody, mający kiedyś wysadzić w powietrze mozolnie wzniesioną budowę. Nad to, koło czego kłótnia się owija? Koło zasady rozdawania urzędów. Jak dziećmi się opiekować—to później; naprzód, kto posiądzie godność tej opieki. Obawiając się, ażeby pożyteczna myśl nie skręciła w tej rosterce karku, proponuję założenie towarzystwa opieki nad kłócącymi się członkami towarzystwa przyjaciół dzieci. Ale cóż będzie, gdy znowu powstanie kłótnia o urzędy?

Ciszej i zato szczęśliwiej dojechał podobno do portu dom schronienia dla nauczycielek, który — jak zapewnia reporterya — ma już niedługo odwołać się do nakładców z prośbą o książki. Biedne więc, skołatane burzami losów rozbitki znajdą wreszcie przytułek. Niech im zastąpi rodzinę.

Dzięki jednorazowej galanteryi warszawskiego członka stowarzyszenia literackiego w Paryżu, który za przekład jakiejś powiastki francuskiej zapłacił kilkanaście franków, nadewszystko dzięki jego umiejętnej reprezentacyi interesów naszego piśmiennictwa na kongresach, zaznajamiającej Europę z ilością ogłoszeń *Kuryera Warszawskiego*, dostaliśmy... ambasadora literatury francuskiej w Petersburgu, p. E. Michelet, który ma strzedz praw autorskich i wydawniczych swych ziomków w obrębie państwa rosyjskiego. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby to zrobiło księstwo Monaco, ale Francya, zwłaszcza dziś, gdy potrzebuje ludzi do walki z krumirami — pojąć tego nie mogę! Ażeby p. Michelet nie nudził się bezsilnymi wobec braku konwencyi protestami, radbym mu szczerze dać jakieś zajęcie. Mianowicie zobowiązuję się płacić mu za każdy przekład umówioną sumę, ale pod następującymi warunkami: szanowny ambasador przyrzeknie: 1) odzwyczaić arystokracyę naszą od czytania książek francuskich i zachęcić ją do polskich; 2) wytłomaczyć szanownym filistrom, ich żonom i córkom, ażeby zamiast nakładów Plona lub Hachette'a kupowali wydawnictwa Gebetnera i Wolfa lub Polaka; 3) dokazać tego, żeby nasza młodzież szkolna mogła używać podręczników polskich; 4) wreszcie, ażeby śmiały nakładca warszawski mógł marzyć o sprzedaniu 1000 egzemplarzy książki tłomaczonej z francuskiego. Jeżeli p. Michelet warunkom tym zadość uczyni, nie pytając nawet moich ziomków o zgodę, podpiszę z nim „w imieniu całego kraju" układ, mocą którego zobowiążę się do wynagrodzenia za przekłady autorów francuskich. Dopóki to nie nastąpi, radzić tylko można szan. ambasadorowi, ażeby w długich, wolnych od przestrzegania praw autorskich chwilach odczytał sobie po polsku lub rosyjsku użyteczne dziełko W. Spasowicza o tych właśnie prawach. Poznawszy je, zrozumie nas łatwo.

O, tak panie Michelet, ciężko nam idzie, bardzo ciężko. Dość przejrzyć pierwszy zeszyt wspaniałego wydania *Pana Tadeusza* z ilustracyami. Nakładca, lwowski księgarz Richter, odwagę i dobre chęci miał, papier i czcionki godne złotych słów arcydzieła dał, ale ilustracye!... Cała sympatya n - sza dla Andriolego, szczera chęć zalecenia czytelnikom wydawnictwa nie zasłania nieudolności czy pospiechu w wykonaniu wizerunków. Niektóre dość szczęśliwe, ale zato inne wydzierają z piersi głębokie westchnienie.

W tem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła
Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.

czytamy pod jedną ilustracyą, pytając w duszy: jak ów młodzieniec mógł znieść widok tego chudego widma, które już p. Andriolli nieraz wywoływał w swych obrazkach do fantazyj Słowackiego? Doprawdy nie pojmuję, dla czego mechanicznie nastrajające się na ton pochwalny pisma nasze zbytecznem pobłażaniem pobudzają utalentowanego rysownika do zaniedbywania się. W ostatnich czasach wyskakują mu obficie z pod ołówka figury, w których jedynym znakiem życia są konwulsyjne skręty linij. Mniejsza o tę niesmaczną manierę w jakimś przygodnym obrazku, który przepłynie szybko z falą prasy peryodycznej; ale na kartach książki, która długo spoczywać będzie na stołach naszych, winny się odbić utwory trwałszego znaczenia. Z tego względu pierwszy zeszyt *Pana Tadeusza*, o ile zadawalnia najwybredniejszy smak całą zewnętrzną stroną wydawnictwa, o tyle nie zadawalnia nawet umiarkowanego — ilustracyami.

Od początku ubiegłego tygodnia głosy przeróżnych kwest mięszają się z echami rozpoczętych po długiej przerwie zabaw. Wezwania do składek na kurpiów, na pomnik Mickiewicza, a jednocześnie widowiska teatralne, zapowiedzi koncertów. Dobroczynność o wszystkich myśli, nawet rząd podobno ma zamiar wesprzeć niezamożnych wystawców wracających z niedoszłej wystawy moskiewskiej. Kto wie, czy i na nich nie przyjdzie urządzić koncertu lub loteryi fantowej!

*Poseł Prawdy.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 6 maja.*

Jaka cisza zapanowała na arenie politycznej, lub jak mizerne występują na niej fakta, dowodem szerokie zajęcie się prasy niedorzecznym pomysłem ks. Bismarcka przeniesienia stolicy Niemiec z Berlina do Kassel lub Spandau. Pomysł ten licuje wprawdzie z dziecinno-dyktatorskimi szusami kanclerza niemieckiego, który umie przenosić warsztat rządowy do Warzina, gdy mu przyjdzie ochota bawić na dłuższej majówce, i który gotów kiedyś kazać osiąść ministrom na Maderze, gdy mu będzie potrzeba klimatu tej wyspy; nie sądzimy jednak, aby jego zamiar zmiany stolicy był poważnym. Jest to jedno z tych przywidzeń zestarzałego i może rozstrojonego umysłu, które dziś — niestety — w życiu ks. Bismarcka zastępują miejsce dawnych genialnych rzutów.

Daremnie sprawa grecka i wojna w Tunisie usiłują odciągnąć uwagę niemców od grymasów kanclerza. Co prawda, obie te kwestye niewielką posiadają siłę atrakcyjną. Zatarg Porty z Grecyą, przechodzący okresy *febris intermittens*, wyszedł znowu ze stadyum gorączki: Porta udzieliła już mocarstwom odpowiedź na ostatnią notę, w której zgadza się na ustąpienie Grecyi ziem oznaczonych.

Co do wojny w Tunisie, nie nachodzą z jej widowni ważniejsze doniesienia; bądź skutkiem braku faktów, bądź skutkiem zatkania ust korespondentom. *Times* podał rotę zobowiązania, którą musieli podpisać wszyscy reporterzy przy armii a według którego wolno im donosić to tylko, co za stosowne uzna władza wojskowa. Widocznie zatem owa władza nie uznała dotąd za stosowne ogłaszanie szczegółów wyprawy.

Zresztą, jak rzekliśmy, poważnych starć prawdopodobnie dotąd nie było, gdyż wojsko beja ogranicza się tylko na objawianiu protestu.

Kronika życia politycznego Rosyi nie zapisała również w ubiegłym tygodniu faktów wydatniejszych. Rząd jest ciągle jeszcze zajęty zmianami osób u swego steru. W ostatnich dniach naczelnik Zarządu Prasy Abaza ustąpił miejsca ks. Wiaziemskiemu. Dzienniki pożegnały go życzliwie, zaznaczając, że zawsze żywił i objawiał bardzo dobre chęci. Pogłoska przesuwa również świeżego ministra dóbr państwowych ks. Ignatiewa na inne stanowisko; wróżba jednak dotąd niesprawdzona. Tymczasem w rozmaitych proroctwach, których tu szczegółowo notować nie będziemy, prasa reakcyjna czerpie materyał do dzikich wykrzyków, pragnących niemal zapędzić państwo w przedrurykowe czasy. Takiego urągającego cywilizacyi koncertu Europa dawno już nie słyszała. PP. Aksakow, Suworin, Katkow robią po prostu wrażenie ludzi kopalnych.

Obrady nad budżetem w austryackiej Radzie Państwa minister Dunajewski rozpoczął mową, która mu zjednała rzęsisty poklask stronników autonomii w parlamencie i prasie. Nie widzimy w tej mowie tych cudów, których się dopatrują niektóre polskie dzienniki, przyznać jednak trzeba, że p. Dunajewski szczęśliwie uwydatnił zasługę Astryi w równouprawnianiu ludów jej berłu podległych.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Muzeum hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego we Lwowie, podarowane przezeń krajowi podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa w Galicyi, otwarte zostało w dniu 28 z. m., jako instytucya publiczna.

**Literatura polska.** P. Ludomir Szczerbowicz-Wieczór wydał w Płocku broszurę p. t. *O skażeniu obecnem języka polskiego w prasie.*

— Ukazał się pierwszy zeszyt *Pana Tadeusza* z ilustracyami Andriollego.

— Pism Bolesława Prusa wyszedł tom pierwszy i zawiera powiastki: *Przygody Stasia, Antek, Powracająca fala, Michałko, Sieroca dola.*

— P. Adolf Suligowski wydał broszurę p. t. *Z dziedziny praw kobiety. O prawie asystencyi męża.*

— *Słownika geograficznego* zeszyt XVII wyszedł z pod prasy i obejmuje miejscowości od *Ekaterynosław* do *Frampol.* Z ważniejszych artykułów zawiera: *Elbląg, Ełk, Estonsa, Esza, Ewersmujża, Ewikszta, Falenty, Fatra, Fejmany, Felsztyn, Fersztnowo, Fijewo.*

— Pani Paulina Szumlańska wydała książkę p. t. *Skrzętna gospodyni.*

— Ks. I. Zieliński prof. Collegium Romanum w Pelolinie wydał dziełko *O widzeniach i zachwyceniach, przyrodzonych i nad przyrodzonych, i o rozpoznawaniu takowych, z zastosowaniem do objawień w Gierzwałdzie.*

— Wyszedł świeżo z pod prasy podręcznik informacyjny p. t. *Krynica, jej wody alkaliczno-żelaziste i c. k. zakład zdrojowo-kompielowy.*

**Literatura czeska.** Ignacy Hermann wydał w Pradze zbiorek poezyj p. t. *Humor Parnassu czeskiego.*

**Dziennikarstwo zagraniczne.** W Kołomyi, stolicy Pokucia galicyjskiego zaczął wychodzić dwutygodnik rusiński dla ludu, drukowany łacińskiemi czcionkami, p. t. *Switło.* Celem wydawnictwa będzie pojednanie dwóch waśnionych sztuczną agitacyą narodowości.

**Konkursa.** Petersburska Akademia nauk otrzymała od znanego historyka rosyjskiego Kostomarowa, małorusina, kwotę 4,000 rs. w papierach publicznych, która wraz z procentami za lat 10, przyznaną być ma autorowi najlepszego słownika małorusko-rosyjskiego, obejmującego język ludowy i książkowy małorusinów. Termin nadsyłania rękopisów do akademii wyznaczony na dzień 13 grudnia 1891 r. Nagrodzona praca wydaną będzie kosztem akademii.

**Akademia.** W Akademii nauk i umiejętności w Krakowie odbyło się w dniu 3 b, m. doroczne posiedzenie publiczne. Posiedzenie zagajonem zostało przez hr. Alfreda Potockiego, następnie zabrał głos prezes akademii dr. Mayer, poczem pr. Szujski odczytał sprawozdanie z zeszłorocznej działalności krakowskiej instytucyi naukowej. Sprawozdawca poświęcił sympatyczne wspomnienia zmarłym członkom akademii: ks. Fr. Malinowskiemu oraz Aleksandrowi Tyszyńskiemu.

Z grona członków nadzwyczajnych straciła akademia w roku ubiegłym: posła Rydzowskiego, ks. Eugeniusza Tupego, dra Krzyżanowskiego, ks. Wilczka i podskarbiego akademii prof. Janikowskiego.

Po sprawozdaniu prezes Mayer odczytał rzecz p. t. *O ludziach stuletnich w krajach polskich w związku z trwaniem życia prawidłowem.*

W końcu dr. Szujski odczytał szereg konkursów naukowych, ogłoszonych przez akademię w roku ubiegłym. Na jednym z nich nagrodę otrzymał w r. z. p. Hanusz za pracę o *Psałterzu Floryańskim.*

**Wystawa przyrodniczo-lekarska w Krakowie.** W myśl uchwały wydziału gospodarczego Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, równocześnie z Zjazdem ma mieć miejsce wystawa przedmiotów, mających styczność ze sztuką lekarską i naukami przyrodniczemi.

Celem wystawy jest przedstawić zebranym lekarzom i przyrodnikom ruch naukowy na polu badań z prac umiejętnych, środki naukowe pomocnicze w najnowszych czasach używane, tudzież co w gałęziach przemysłu i rękodzieł, najbliżej ich dotyczących, wyrabia się w kraju, a zatem nie potrzebuje być sprowadzane z zagranicy, jakie są tych wyrobów zalety lub niedostatki i czego zgoła brakuje.

Przedmioty, kwalifikujące się do wzmiankowanej wystawy, są następującego rodzaju:

I. Wystawa prac badawczych w okazach z zakresu nauk przyrodniczych, lekarskich i technologii, dla wykazania ruchu naukowego, jaki się objawił w kraju naszym w ostatnich latach (dział wyłączony od ubiegania się o nagrody).

II. Środki naukowe pomocnicze, rzadkie lub pouczające okazy flory, fauny, rozmaitych pokładów, skamielin, zwłaszcza cechujących fizyografię krajową, antropologię i etnologię krajową, wyroby anatomiczne i anatomo-patologiczne sztucznie przechowywane, zbiory preparatów drobnowidzowych, okazy przyrodnicze wyroby anatomiczne sztuczne z różnych materyałów (np. z masy papierowej, wosku, gipsu i t. p., a także rzeźbione, galwanoplastyczne i t. d.). Nakoniec należą tu okazy lub modele z zakresu techniki naukowej różnych gałęzi umiejętności przyrodniczych i lekarskich, hygieny i technologii.

III. Diagramy, kartogramy i mapy z zakresu demografii, fizyografii, statystyki zdrowotnej, hygienicznej i zdrojowej, plany szkół, łazienek, rzeźni, szpitalów, rozmaitych zakładów dobroczynnych, hygienicznych urządzeń w fabrykach i pracowniach rękodzielniczych. Drzeworyty, litografie czarne i barwiste, sztychy, fotografie i inne sposoby odwzorowywania rysunkiem przedmiotów mających związek z naukami lekarskiemi i przyrodniczemi. Dzieła ilustrowane i nie ilustrowane polskie z dziedziny nauk przyrodniczych i lekarskich w ostatnich 12-tu latach wydane.

IV. Przetwory chemiczne i okazy wyrobów chemiczno-technologicznych, o ile mają związek z naukami przyrodniczo-lekarskiemi i rozwojem tej gałęzi przemysłu fabrycznego krajowego.

V. Okazy leków surowych krajowych i przetwory farmaceutyczne; wyroby aptekarskie fabryczne różnego rodzaju, jako to: czekolady lekarskie, kołaczyki i t. p. wyroby wchodzące w zakres tak zwanej *„Pharmacopea elegans“* i przemysłu aptekarskiego. Kosmetyki wyrabiane na większe rozmiary, o ile skład ich znany jest ciałom lekarskim i urzędom zdrowia; wreszcie wyroby przemysłu zdrojowego, wody mineralne polskie, ługi, sole i inne przetwory z takowych wyrabiane.

VI. Okazy pokarmów i napojów w stanie świeżym. Porównawcze zestawienie ich sfałszowań, konserwy pożywek. Środki dezinfekcyjne i odwaniające i tym podobne artykuły hygieniczne; przyrządy gimnastyczne i t. p.

VII. Narzędzia i przyrządy anatomiczne, chirurgiczne, opaski, narzędzia i przyrządy okulistyczne, położnicze i semiotyczne. Sztuczne zęby, oczy i członki, przyrządy ortopedyczne, elektro-lekarskie, balneo-techniczne, hygieniczne (sączki i t. p.), weterynaryjne, chemiczne, fizyczne, optyczne, meteorologiczne i astronomiczne. Zbiory tanie podręczne okazów przyrodniczych, mogących służyć do wykładów w zakładach naukowych.

VIII. Przyrządy i materyały, służące do pielęgnowania i opatrywania chorych i rannych, przyrządy do przenoszenia i przewożenia chorych; namioty, baraki, wagony, wozy szpitalne i rozmaite przedmioty dotyczące wojskowej służby lekarskiej; wreszcie przyrządy i materyały z zakresu ratownictwa publicznego (*sauvetage*).

IX. Niektóre inne przedmioty, które nie dały się pomieścić w powyższych działach, a mające styczność z naukami przyrodniczo-lekarskiemi.

Z uwagi, że komitet wystawy przyrodniczo-lekarskiej nie rozporządza żadnym na ten cel funduszem, koszta przesyłek ponosić muszą właściciele przedmiotów nadsyłanych; komitet zaś ma niepłonną nadzieję, że wydatki te wrócą się nadsyłającym przemysłowcom i rękodzielnikom w skutek zwiększonego odbytu, wynikającego zazwyczaj z wystaw przemysłowych. PP. przemysłowcy i rękodzielnicy mają nadto składać za miejsce zajmowane przez wystawione przez nich przedmioty opłatę, której wysokość, o ile możności najniższa, później zostanie ogłoszoną.

Tylko takie przesyłki będą przyjęte na wystawę, które nadejdą do Krakowa przed dniem 10 lipca b. r.; pożądanem jest jednak jaknajrychlejsze ich przesyłanie w celu zamieszczenia przedmiotów w katalogu wystawy. Adresować je należy franco: *Do Komitetu wystawy przyrodniczo-lekarskiej w Sukiennicach w Krakowie.*

Wszelkie zaś zgłoszenia co do przedmiotów wystawowych należy przysłać najdalej do 20 czerwca b. r, z oznaczeniem przestrzeni zająć się mającej pod adresem: *Muzeum techniczno-przemysłowe w Krakowie.*

Kraków, d. 14 kwietnia 1881 r.

W imieniu komitetu wystawowego.

Sekretarz. Przewodniczący.
*Dr. Schramm.* *Dr. Adryan Baraniecki.*

**Archeologia.** W mieście Buccari, w Chorwacyi, odkryto przeszło 30 rozlicznych rzymskich grobów. Rozkopywaniem i badaniem ich zajął się dyrektor chorwackiego muzeum p. Ljubicz. Wydobyto wiele nader cennych zabytków, różne ozdoby bronzowe i szklanne, monety, urny i rozmaite sprzęty pogrobowe, które pomieszczono w muzeum zagrzebskiem.

— W Kamieńcu Podolskim, przy rozkopywaniu fundamentów pod budowę gmachu domu miejskiego, znaleziono berło stalowe z rękojeścią złotą, które, sądząc z znajdujących się na niem napisów, jest roboty słynnego rzeźbiarza Benwenuta Celliniego.

— We wsi Kluczewie, w powiecie Szamotulskim, w Wielkiem księstwie Poznańskiem, wykopano przed niedawnym czasem parę urn glinianych, kubek z uszkiem z gliny palonej, doniczkę z gliny czerwonej i dwa dzbanki. Wszystkie te przedmioty odnosić się zdają do bardzo dalekiej przeszłości.

**Teatr.** Na scenie teatru małego wystawiono po raz pierwszy pięcioaktową krotochwilę p. Samolińskiej p. t. *Trzy flory*, i operetkę w jednym akcie z francuskiego pp. Halevy i Busnach, z muzyką Offenbacha p. t. *Rajskie jabłuszko* (Pomme d'api). Na scenie zaś teatru rozmaitości jednaktowy dramat W. Okońskiego p. t. *Helvia.* Na tejże scenie nową komedyę Józefa Blizińskiego p. t. *Mośkowe swaty.*

— W Odeonie paryskim wystawiono nowy dramat Franciszka Copée'go p. t. *Madame de Maintenon.*

**Nekrologia.** Stanisław Janikowski, profesor medycyny sądowej i policyi lekarskiej na uniwersytecie Jagielońskim zmarł w dniu 21 z. m.

— Dr. August Wannowski, jeden z najbardziej poważanych pedagogów w W. Ks. Poznańskiem, były nauczyciel gimnazyum św. Maryi Magdaleny i jeden z założycieli Towarzystwa pomocy naukowej, zmarł w dniu 29 z. m. w Gdańsku.

— Emil Girardin, słynny publicysta francuski, umarł w Paryżu w wieku lat 70. Obszerniejsze wspomnienie poświęcimy zmarłemu w przyszłym numerze *Prawdy.*



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Апрѣля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.